

SPRAWY OTWARTE

WILNO

20
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 5

1—15 MAJ 1937 r.

Rok I

Nacjonalizm a katolicyzm^{*)}

W ostatnim numerze «Spraw Otwartych», rzucając kilka myśli o konieczności silnej postawy antykomunistycznej, wyraziłem zdanie, że siłę frontu antykomunistycznego upatruję w chrystianizmie i w oparciu na zasadach etyki chrześcijańskiej nacjonalizmie.

Nawracam dziś do tej sprawy, która luźnie tylko narzuciłem i która wymaga bliższego sprecyzowania, jakkolwiek i teraz rozumiem, że wyczerpanie tego tematu w okolicznościowym artykule jest rzeczą niemożliwą. Chodzi mi o ustalenie możliwości pogodzenia nacjonalistycznych tendencji z wymaganiami filozoficznej nauki i etyki katolickiej. Nie będzie tu mowy o faktycznym stanie nacjonalizmu, bo resztą jest on jeszcze dziś w stadium wybitnie płynnym, przechodzi, jak każda potężna idea, ewolucję, stany prób i doświadczeń w kierunku jednolitego krystalizowania się pojęć.

Nacjonalizm, jako istniejąca już dziś potęga, jest wydarzeniem, nad którym nie można przejść do porządku dziennego. Wyłonił się po wojnie światowej, odkąd wyszedł zwycięsko z walki z imperializmem państwowym. Wyrósł z najżywoźniejszego popędu ludzkiego — z miłości do narodu, nie zaś do państwa. Bo naród—to «wytwór krwi i ciepła ojczyźnej ziemi, to konkretna, barwna, tętniąca życiem rzeczywistość, która nie tylko przemawia do serca, ale czepia się z niesłychaną siłą każdej jego żyłki i znajduje oddźwięk w każdym jego bicu». W katolickiej nauce o państwie przeważały do czasów wojny światowej sympatie w kierunku idei państwa, a nie w kierunku nacjonalizmu. Przyczyna tego — jak mówi jeden z poważnych katolickich filozofów — tkwiła w konserwatyzmie katolickim, operującym pojęciami, odziedziczonymi po wielkich mistrzach, w znamienym fakcie, że idea nacjonalistyczna posługiwała się czynnikami rewolucyjnymi, a wreszcie i w intelektualizmie etyki katolickiej, w przewadze abstrakcji myślowej nad uczuciem, z którego właśnie zrodził się nacjonalizm.

Po tych ogólnych uwagach, stawiam od razu pytanie, czy idea nacjonalistyczna może się pogodzić z katolicyzmem?

Pozornie zdawałoby się, że nie. Tu uniwersalizm, tam partykularyzm narodowy; tu cele wiekiste, tam ziemskie, skończone, doczesne; tu dążność do podniesienia ogólnoludzkiej kultury, tam zaś nieopanowany i często ciasny instynkt narodowościowy. — Lecz tak się tylko wydaje, w rzeczywistości

jest inaczej. Przejdźmy tę argumentację w ścisłej kolejności.

A więc najpierw katolicka nauka o państwie nie głosi niezmienności w dziedzinie ustroju politycznego i społecznego. Zmiana takowego ustroju zależy od ludu, żyjącego w danym państwie, od ludu, któremu przysługuje według praw Bożych wolność stanowienia o własnym ustroju. Zmianę tę wa-

runkuje z kolei stopniowy rozwój i postęp kultury i cywilizacji danego narodu, dla którego stare formy już nieraz nie wystarczają. — Na tej podstawie — nie ma, według katolickiej doktryny społecznej, dogmatycznych praw o jednolitości i stałości ustroju. Stąd i nacjonalizm, jako idea kształtująca oblicze narodu, oraz regulująca stosunki polityczno-społeczne, może być uprawnia-

otwarki na otoczący nas świat zagadnień.

Rozbieżność celów — tam cele wieczne, tu ziemskie i doczesne. I ta trudność niewiele znaczy, bo dobrze wiadomo, że katolicyzm nie jest religią fikcji i nieuchwytną abstrakcją, że dotyczy ludzi z krwi i kości. Ziemia nie jest terenem dla duchów, ale dla ludzi w pełni rozumieniu tego słowa, jest dziedziną, na której przez zgrane złączenie pierwiastków ziemskich i nadziemskich najlepiej przysposabiamy się do «wyzszej kultury ducha».

Pogodzenie istotnych elementów katolickich i nacjonalistycznych, na najszerszej płaszczyźnie dobrego ich zrozumienia, nie napotyka w zasadzie na trudności, ani nie zawiera w sobie sprzeczności. Nie przed nacjonalizmem, jako takim, broni się Kościół, lecz przed jego przerostem i wyrodzeniem, którego aby uniknąć, musi nacjonalizm oprzeć się na chrześcijańskim światopoglądzie sprawiedliwości, rozumnej miłości i na etyce. Musi się bronić przed tymi objawami zwyrodnienia, które wytworzyły się na gruncie niektórych kierunków — jak np. na gruncie hitleryzmu w Niemczech.

Dopóki nacjonalizm nie przekracza zasady *sum cuique*, dopóki broni interesów własnego narodu uczciwie i nie dąży do zrealizowania swych celów *per fas et nefas* — dopóty w katolicyzmie będzie miał podporę i obrońcę. Z chwilą zaś, kiedy rację hytu państwowego (jak to wybitnie ma miejsce w Niemczech) postawi wyżej od wolności indywidualnej swych obywateli, kiedy z człowieka będzie usiłował zrobić narzędzie bezwolne, kiedy, w myśl wewnętrznego skonsolidowania się, wpadać będzie w chorobliwe ambicje narodowe i głosić zasadę t. zw. rasizmu (przesadnie — rzecz jasna) — zgoda katolicyzmu z nacjonalizmem będzie zerwana. Ponad wszystkimi dążeniami musi stanąć prawo Boże pozytywne i naturalne, a nie pogańska zasada „*salus rei publicae suprema lex!*” Realizowanie nacjonalistycznych postulatów może doskonale odbywać się w granicach etyki, której sprawiedliwość jest najlepszym miernikiem i wyrocznią słusznych pretensyj. Nacjonalizm w fazie dzisiejszej znajduje się w stadium płynnym i przejściowym, stąd łatwo przyjmują się doń najrozmaitsze naleciałości niezdrowe, które żywotność wielkiej, biologicznej idei musi stawić.

Ma nacjonalizm swoje prawa, ma też swoje ograniczenia. Lecz w tych ograniczeniach właśnie, chroniących go przed przerostem siły brutalnej na niekorzyść walorów idealnych, tkwi jego pozytywno — twórcza moc na przyszłość.

WACŁAW JASTRZĘBIEC



KRZYŻE NAD MIĄSTEM
brom

STADEUSZ CYPRIAN
[Puszczykówko (Pozn.)]
(Odbitka z «Przeglądu Fotograficznego»)

Katolicyzm głosi uniwersalizm, nacjonalizm zaś jest partykularyny w swych dążeniach. Sprzeczność znów tylko pozorna, bo uniwersalizm katolicki obowiązuje nie tylko katolika, ale każdego zdrowo myślącego człowieka, nie przekreśla też mądrego partykularyzmu, ale go suponuje do zrealizowania swoich celów. — Uniwersalizm ten zmierza do podniesienia ogólnoludzkiej kultury, głosi braterstwo wszystkich ludów, ogłasza nakaz poszanowania cudzych walorów myśli i ducha — ale rozumie, że zrealizować swój cel może jedynie przez silne jednostki, zrzeszone w silnych organizmach państwowych i narodowych, a więc po przez

partykularyzm. W przeciwnym razie jednostkowe dążenia musiałyby zaginać w nieujętych żądnymi karbami morzu dążeń i celów rozbieżnych. Jak pojedyncze kółka wielkiej maszyny dobrze spełniają swą rolę dlatego, że są kółkami, tak poszczególne narody wypełnią dobrze swe zadanie wtedy, kiedy będą narodami.

Pamiętać tu jednak należy o tym, że chodzi nam wciąż o stronę teoretyczną zagadnienia, o to, jakim nacjonalizm być może i powinien, a nie o to, jakim tu i ówdzie jest. Każdy przecie rozumie, że nic chyba łatwiejszego, jak zamknąć oczy i patrzeć przez ciasne

*) Opierałem się na rozprawie Ks. J. Rostworowskiego, Nacjonalizm, jego uprawnia i styżne granice, Przegląd Powszechny, 1923 r. luty marzec.

Szymanowski na tle muzyki współczesnej

Ile razy słyszymy, że któraś z polskich pozycji kulturalnych zdobywa sobie najszerszą, światową arenę, tyle razy się cieszymy, bo jest to sprawdzianem naszej najbardziej żywotnej zdolności rasowej. Kopernik i Chopin, Curie-Skłodowska i Conrad-Korzewski są wspólną własnością ludzkości. Wirtuozi polscy, z Paderewskim na czele, zdobywają najtrwalsze placówki publicznego entuzjazmu. Dzisiaj czcimy pamięć tego, którego nazwisko zapisane jest wśród pierwszych nazwisk kompozytorów współczesnych.

ZNIENACKA

Straszę anarchią

(niedokończone poszukiwania)

Są metafizycy — nasi znajomi, którzy przyznają się skromnie: zaczniemy inne życie jak kasztany zakwitną.

Ale dlaczego właśnie wtedy? — bo jesteśmy metafizycy. Nie próbujemy z nimi nawet dyskutować — mają rację. Jasne — podobłocznicy, więc czekają na kasztany, na kwitnące.

A gdzieindziej mistycy — jeszcze inaczej tłumaczą wiosną abulię: nie czekamy na kasztany, bo nie wiemy — czy proces kwitnienia wymaga cierpienia. Tych o nic nie pytamy — bo fizjologia niema nic wspólnego z filozofią.

Zostają ludzie powszedni, t. zw. zjadacze chleba, którzy patrząc przez zakopane szkło własnych małostkowości na sprawy świata utrzymują: nie chcemy trzęsienia ziemi, bo mamy wodospad Niagary, czyli oślaniają egoizm tradycyjny — względami widowiskowymi.

Mówią: trzęsienie ziemi, wszelka zmiana — niszczy stan istniejący, zabierają jednostki. Myślę! nam może być gorzej.

I tych spróbujmy straszyć anarchią.

Życie krótkofalowe, sobkowskie, ślimaczce — jest życiem dychawicznym. Prawie zawsze — krztusimy się brakiem idei, umiemy wcześniej, niż żyć zaczęliśmy.

Nie podnosimy oczu wyżej — nad powodzenie własne, nie rozkładamy ramion szerzej, niż protekcyjny uścisk.

Nie mierzymy kilometrami tego — co nie sięga w nas głębiej — na kilka stóp.

A życie egoistyczne — nie jest głębokie, jak wszystko dokonywane w pośpiechu.

Takie życie, w którym głową dotykamy powały naszych możliwości — należy zmienić.

Zmienić zaraz, nie czekając ani na kwitnące kasztany, ani na dociekania naukowe, ani na to — że szumiąca Niagara zagłuszy w nas wewnętrzne nakazy.

Wystrzelić w sobkowstwo — anarchią, to trafić celnie w krótkofalowość i dychawiczność dotychczasowego życia.

Anarchia — jako postawa filozoficzna może się stać podstawą wyjściową — do ukształtowania innego wnętrza, powinna się stać — bo po to anarchizowaliśmy życie.

Łatwiej stworzyć z chaosu świat, aniżeli stworzony już — zmienić. Ten moment, że jest oblicze i nie ma oblicza — urasta do zagadnienia — czy mam tworzyć, czy mam tylko odtwarzać.

Wprowadzenie anarchii — do bezideowego życia „z dnia na dzień” — stawia nas przed musm: szukania.

Każdy przyzna, że lepiej jest — szukać, dążyć do czegoś — aniżeli kisać.

Anarchia, zachłyśnięcie się, witalizm — to zawór bezpieczeństwa dla krztuszenia się, dychawiczności, krótkiego oddechu.

I jeden warunek: anarchia — musi być krótką formą przejściową poszukiwania i musi prowadzić do odrodzenia wewnętrznego jednostki.

Inaczej nie będzie zaworem bezpieczeństwa.

WINTYMA

Wartość współczesnego artysty jest niewymierna. Artysta o bardzo dużej popularności za życia, prawie zawsze ginie równie szybko, jak szybko jego sława urosła. To co się dziś mówi o rozgłosie za życia: Bacha, Schuberta czy Chopina to było entuzjazmem mniejszej lub większej, ale zawsze tylko grupki ludzi. Dzieje się to dlatego, że prawdziwe wartości sztuki są poza i doraźną współczesnością. Współcześni oceniają i rozumieją to, co już znają. Stąd powodzenie rzeczy banalnych. Dopiero w starości lub po śmierci swego twórcy zostają docenione i oceniane dzieła naprawdę wiel-

kie. Jest to zupełnie proste, gdy zważymy, że nie tylko tworzenie, ale i percepcja sztuki jest pracą. Ci z pośród wielkich, którzy za życia cieszyli się powodzeniem i sukcesem, zawdzięczali to kulturalnej elicie społeczeństwa. Chociaż nie dla sukcesu i nie dla sławy tworzy się dzieła muzyczne, to jednak popularnym dla nas miernikiem jest ta akustyka świata, z jaką się one spotykają. Jest faktem, że dzieła Szymanowskiego, a zwłaszcza jego dzieła symfoniczne i utwory skrzypcowe, poszły w świat. Ale nie poszły tą łatwą drogą rzeczy uprzednio już znanych. Poszły stromą ścieżką nowych

wartości, które stwarzają podwaliny prawdziwego stylu polskiej muzyki.

Szymanowski domyślał się tego sam, i sam «wymyślał» polski styl muzyczny. Podczas gdy inne narody żywiły swych twórców pokarmem nieprzerwanej, najlepszej tradycji muzycznej, on musiał sięgać po najwyższe europejskie wartości, by zrównać mistrzom, i ukazać własną odrębność. Stał się panem orkiestry jak Ryszard Strauss czy Rimski-Korsakow. Ale podczas gdy jego rówieśnicy znajdują bezpośrednich ojców swego stylu, podczas gdy Strawiński miał za sobą Mussorgskiego, a Ravel Debussy'ego, on sięgać musiał dalej, poprzez pustkę wieku, do Chopina, aby znaleźć jakieś wskaźniki dla swego natchnienia. Stąd pochodzi odmiennosc stylu, która go cechuje, stąd odosobnienie w którym wyrasta. Trudno usłyszeć sztukę, której korowód byłby tak bardzo daleki i niedocieczony. Formy, melodie i dźwięki są nowe. Skrzypcowe Miły, pieśni, Symfonie, Harnasie i Stabat Mater musiały same torować sobie drogę na świecie, musiały być ojcami polskiego stylu, to też cudzoziemcy z trudnością wiązali te dzieła z całokształtem muzyki europejskiej, nie mając przygotowanej na nie szufladki.

Dzisiaj wyjaśnia się wszystko. Chopinowski Mazowsze łączy się z Podhalem i Ukrainą, i te nasze prowincje wędrują w świat, bo wyrażone są i odśpiewane językiem o skali światowej. To też definitywnie zbliżyły się do siebie nazwiska dwóch naszych największych muzyków. Bliski Chopina zbliża się też Szymanowski do siebie współczesnych, i ujmuje ich we własne ramy stylu, podobnie jak epoka romantyczna objęła całą plejadę wielkich muzyków. To co dla dla uszu były zawile jeszcze 20 lat temu, staje się dzisiaj łatwe i zrozumiałe. Wszystko się upraszcza i wyjaśnia dla tych, co słuchają. I wszystko napawa nadzieją, że to może drugi i ostatni nasz wielki muzyk, co taki samotny i odosobniony szedł przez świat naszej sztuki. Tak samo umarł. Ostatnie miesiące Jego życia były jakąś wielką pomyłką. Nikt się nie spostrzegł, i to jest nie do wiary, że tracimy największego muzyka. Jakiś okrutny symbolizm otacza jego ostatnie miesiące spędzone w hotelu w Grasse. Wezwana w ostatniej chwili siostra zdążyła, by spędzić z nim ostatnie 36 godzin życia w Lozannie. A był to człowiek który tęsknił do swoich. Dzisiaj muzyka jego powraca ze świata i tęskni do polskich słuchaczy.

ZYGMUNT MYCIELSKI

Przemówienie na Srodmie Litewskiej, urządzonej ku czci ś. p. Karola Szymanowskiego

**W dniu Święta Narodowego
3 maja złożymy dary pieniężne
na rzecz
Polskiej Maciery Szkolnej**

Arab i butelki

Jak było gorąco każdy pojmie w lot,
gdy powiem, że ze słońca kroplami kapął pot.
W takim skwarze
po Saharze
jechała karawana. Stary
Arab jechał na pierwszym mehari
i pociągając wodę z butli, rzekł:

„Na mój sędziwy wiek
O Ty, co stworzył słońce
nieco za gorące,
ziemię, na niej góry i wąwozy
i ludzki rozum,
który wymyślił butelki —
O Allah! jesteś wielki!”

J. Ł. P.



KATEDRA WILEŃSKA

JAN BUŁHAK

Z połówkowych kart

W roku 1777 z inicjatywy biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego przystąpiono do odbudowy Katedry, która, w związku z runięciem wieży w r. 1709, była zamknięta dla wiernych.

Ignacy Massalski wyasygnował ze swojej szkatuły 24 tys. zł., kapituła zaś zgodziła się przejąć na siebie trzecią część kosztów przebudowy. Biskup z całą energią zabrał się do dzieła.

Zarządzony na wielką skalę konkurs przyniósł zwycięstwo młodemu i zdolnemu architektowi wileńskiemu Wawrzyńcowi Gucewicz.

Gucewicz, syn chłopca z powiatu Wilkomierskiego, urodził się w r. 1753. Nauki wstępne pobierał w szkołach Pijarów w Poniwiewiezu. Tam też przywdziewa sokienkę duchowną.

W Wilnie studiował dalej w Seminarjum duchownym. Młody kleryk uczęszcza wtedy bardzo gorliwie na wykłady Narwojsza i Kundzicza w Szkole Głównej W. Księstwa Litewskiego. Ponadto nawiązuje kontakt ze słynnym podówczas budowniczym Knaufusem, twórcą pałacu w Werkach. Efektem wykładów i wspólnych długich rozmów z natchnionym Knaufusem było porzucenie przez młodego kleryka szat duchownych i poświęcenie się wyłącznie architekturze.

Za zgodą i na koszt biskupa Massalskiego wyjeżdża Gucewicz na studia zagranicę do Sztokholmu, Kopenhagi, Paryża i Rzymu.

Po powrocie z zagranicy, zgłasza swój projekt do konkursu na odbudowę Katedry wileńskiej, zwycięża i udaje się do Warszawy, by przedstawić swój projekt Królowi. Stanisław August, zachwycony inwendją artystyczną młodego Wilnianina, obdarza go złotym medalem Merentis. Król zatwierdził również projekt ratusza; (obrys ten z własnoręczną adnotacją St. Aug. znajduje się w Wilnie).

W dwa lata później obejmuje Gucewicz katedrę budownictwa i topografii w Szkole Głównej W. Ks. Litewskiego.

Młody architekt pracuje teraz z całym nakładem swych sił i twórczych możliwości.

Obok budowy Katedry, czelekuje i uzupełnia pałac Werkowski, wreszcie kieruje robotami przy odbudowie ratusza miejskiego Gucewicz znajduje się więc u szczytu swej kariery. Nagle wydarza mu się przykry wypadek, który na jego wiedzę zawodową rzuca przykry cień.

Oto w czasie wzmocnienia fundamentów ratusza runęła wieża.

Była to sensacja niepoślednia. Posypały się bezimiennie broszurki, (Sacco i innych)

szkalujące Gucewicza. Bardzo charakterystyczną wzmiankę o katastrofie wyszukano można w «Rękopiśmie Dominikanina»:

«W Wilnie zapadł się ratusz, ale bez szkody ludzi i kamienic przyległych, bo dawniej to przejrano. Jeden bałamat Gucewicz, jak go chwala różni filuci, prócz architektury mający gruntowną wiadomość mechaniki, podjął za 34 tysiące z gruntu ten ratusz umocnić i nowymi ścianami wesprzeć, ale jak z jednej strony dokopał się fundamentów, natychmiast na tę stronę i ratusz zawalił się a wychwalony architekt ledwo uciekł, nie tylko z jamy fundamentu kopanego ale i z miasta, choć go umiejętność poważnym czyniła, lecz lekkość mu w ucieczce więcej pomogła. Miasto bowiem za zawód i przebranie pieniędzy chciało go dla do uczenia mechaniki wsadzić do turmy. Takie to teraz akademie, w których słów tylko uczą architektury, mechaniki, geometrii i astronomji algebry i mechaniki, ale i do gruntu tyle dosięgają, ile żyd Krzyż.»

Katastrofa nie zaszkodziła jednak Gucewiczowi, który w r. 1789 otrzymuje na sejmie szlachectwo.

W 1794 r. w czasie «Insurekcji» ginie, jako zdrajca, biskup Massalski. Fakt ten przyczynił się do opóźnienia budowy Katedry, gdyż spadkobiercy biskupa Potoccy długie zwlekali z wypłatą zapisanych na budowę Katedry sum. Gucewicz w 1798 r. umiera, nie ukończywszy Katedry i ratusza.

Wykończeniem Katedry zajmie się następca Gucewicza prof. Michał Szulc. Dziełem Szulca są te trzy figury znajdujące się na szczycie Katedry.

Na jednej ze ścian kościoła Św. Stefana w Wilnie znajduje się wmurowana tablica o zatartym napisie:

D. O. M.

Tu w Bogu spoczywa

Wawrzyńiec Gucewicz architekt

profesor Akademii Wileńskiej

Zmarł w 1798 r. w 45 roku swego życia Prosi o westchnienie do Boga za swoją duszę.

Jest to jedyna pamiątka po Gucewiczu. Dziś, jego grobu odnaleźć nie można.

STANISŁAW JANICKI

Zahorski mylnie podaje, iż Gucewicz pochowany jest na Rossie.

Materiały: Zahorski «Katedra Wileńska»

«Rękopism Dominikanina»

«Kirkor»

«Przewodnik po Wilnie»

Kłosa.

O polskość ekonomiczną Wileńszczyzny

B i e d a — d o m k i

Na świat powojenny ruszyła groźna ofensywa spekulacji. Zaczęto się przed nią bronić rozpaczliwie. Sprawa nabrała wreszcie takiej wagi, że głos musiało zabrać państwo w formie specjalnego ustawodawstwa.

Takie było podłoże ustaw wyjątkowych w dziedzinie mieszkaniowej. Większość państw, które znajdowały się w stanie zagrożonym jeśli chodzi o podaż mieszkań — musiały się bronić przed kokosowymi interesami kamieniczników. Mieszkanie jest potrzebą elementarną, jej zaspokojenie może dawać pole do wysysku. Stąd podłoże ustawy o ochronie lokatorów z r. 1924, wielokrotnie nowelizowanej i uzupełnianej.

Po okresie pierwszej powojennej haussy we wszystkich działach życia gospodarczego, przyszedł przed rokiem 1930 ogromny krach — pompowana przez szereg lat koniunktura nie wytrzymała i pękła. Przyszedł ze wszystkimi skutkami kryzys — nędza, bezrobocie. Nietylko jednostki, lecz i państwa ze swymi ustawodawstwami zostały zaskoczone. Nowy wróg — bezrobocie. Wróg straszny bo wewnętrzny, bo agresywny, podjudzany głodem i zimnem. Nie było czasu na obmyślanie systemów.

Walka toczyła się bez planu — byle odeprzeć, byle pokonać choć pierwszą linię. Do obrony zostało wciągnięte społeczeństwo. Ostatnio Polska przystąpiła do systemu niemieckiej winterhilfe. Czy szczęśliwie? Raczej nie. Już pierwszy rok, kiedy hasła były świeże, atrakcyjne, oparte o zasady miłości bliźniego i o nakazy — «głodnego nakarmić»... powtarzam już pierwszy rok dał obraz trudności, jaki ten system przyciągnął. Z dwójga złego — nowy podatek — czy wa-

hająca się między przymusem a dobrowolnością akcja — należy wybrać podatek, lub formę do niego podobną.

Można byłoby stawiać zarzuty administrowaniu Pomocą Zimową, jednak lojalnie przyznać trzeba, że miała ona pewien plan. Nie była to zebrana — bezrobotny nie szedł do piekarza by ten z grymasem dał mu chleb, lecz otrzymywał większe lub mniejsze zapomogi w gotówce, czy naturze. Ten pośredni system, po odrzuceniu wad urzędniczych, jest jedyny jaki w walce z bezrobociem może być zastosowany, niezależnie od tego, czy to będzie pomoc organizowana przez państwo, czy przez fuzję towarzystw filantropijnych, przez jakiś jeden w okręgu «Caritas».

I dlatego tym większym paradoksem okazał się fakt istnienia, przymusowego istnienia, ofiar bezpośrednich, dawanych wprost jak z ręki do ręki. Jest w Polsce w dziedzinie mieszkaniowej taki stan, jaki by istniał w przykładzie: bezrobotny przychodzi do piekarza i poparty autorytetem przymusu ustawowego zabiera chleb.

Stan taki istnieje w dziedzinie mieszkaniowej. Do słynnej ustawy o ochronie lokatorów, ustawy zasadniczo już nieaktualnej, powstałej w okresie omówionej spekulacji, dołączyło się moratorium mieszkaniowe dla bezrobotnych.

Stan prawny tego zagadnienia wygląda tak: art. 15 p. 2 ust. w brzmieniu z 4.V.1936 r. «Wstrzymuje się z mocy samego prawa eksmisję mieszkań jedno, lub dwuizbowych, jeżeli orzeczono eksmisję z przyczyny przewidzianej w art. 11, lit. a *)».

Stan faktyczny natomiast wygląda tak:

... bezrobotni znajdują jeszcze w czasie zatrudnienia mieszkania ubogie, w małych domkach u biednych właścicieli.

... mieszkania takie (jedno i dwuizbowe) stanowią 85% ogółu lokali w Warszawie, 91% w Łodzi.

... Wiemy, że w Wilnie są domki posiadające 7 takich mieszkań, z których 5 jest objęte moratorium.

... Suma zaległego komornego z tego tytułu wynosi za r. 1933 w Wilnie 48.327 zł.

Taki jest stan faktyczny. Trzeba jeszcze dodać, że właścicielami takich drobnych nieruchomości są przeważnie ludzie biedni, którzy nieraz żyją tylko ze skromnych dochodów płynących z bieda — domku. I jeszcze, że za te domki płacą podatki nawet wtedy kiedy na 7 mieszkań 5 mają nieopłacanych!

Sprawiedliwość w podziale ciężarów poniosła ogromny szwank. Tak przecież być nie może! Doceniamy całkowicie tragedię bezrobocia, ale takie postawienie sprawy nie tylko bezrobocia nie zwalcza, ale przyczynia się do jego powiększenia. Jest ono ukryte, właściciel nieruchomości nie może być zarejestrowany jako bezrobotny, ale efekt — bieda, jest ten sam.

Gorycz, płynąca z takiej sprawiedliwości, powiększa i to przeświadczenie, że stan obecny faworyzuje właścicieli większej nieruchomości, którzy jak np.: w Wilnie w śródmieściu albo wcale nie mają bezrobotnych, albo w bardzo nieznacznym procencie.

Jest to niezgodne z zasadniczą linią naszego ustawodawstwa, które stosuje w obciążeniu progresję w stosunku do większego dochodu.

I w tym wypadku musiały być wprowadzony stosunek progresywny między większą własnością, a mniejszą.

Musimy bardzo uważnie zastanowić się nad kwestią dziś powszechnie wysuwaną, kwestję bytu stanu trzeciego — mieszczaństwa.

Tak, jak rzemiosło, drobna własność

musi być raczej chroniona. Bardzo możliwe, że jest ona zjawiskiem końcowym, wymierającym, tym niemniej musi znaleźć sprawiedliwą ochronę.

Jednym z takich aktów sprawiedliwości będzie zastąpienie niefortunnego systemu moratorium systemem innym, opartym na zasadzie pośredniości świadczeń.

Prawnik francuski Charles Ramorony z polecenia X Kongresu Międzynarodowego przeprowadził ankietę wśród 26 państw z której wynikało, że w 24 państwach (wśród wielu z dużym bezrobociem) lokale zajmowane przez bezrobotnych są opłacane. W socjalistycznej dzisiejszej Francji uznano, że nie można nawet dyskutować nad projektami zawieszenia płatności komornego bez wprowadzenia z zasady odszkodowania.

Taką właśnie zasadą odszkodowania winno wprowadzić i ustawodawstwo polskie. Są różne wyjścia i sposoby.

Jednym z nich będzie połączenie wpływów od właścicieli domów z ogólną sumą na zwalczanie bezrobocia i wydawanie bezrobotnym bonów mieszkaniowych, realizowanych na gotówkę przez właścicieli.

Niezależnie od tego państwo winno dążyć do załatwienia kwestii mieszkaniowej wśród bezrobotnych na innej drodze; drogą tą będzie budowa domów specjalnych. Nie poniżających ludzkość baraków, a porządnym domów z elementarnymi wygodami, w których czasowo pomieszczenie znajdują nie zawodowi, a przymusowi bezrobotni, ludzie, którzy odczuwają tragedię pozostawania bez pracy.

Sprawę niesprawiedliwego obciążenia nieprodukcyjnego systemu w stosunku do drobnej i średniej własności trzeba jak najprędzej pchnąć na właściwą drogę.

ST. BORKOWSKI

*) Jeżeli zaległość powstała z powodu braku pracy, lub wogóle nędzy wyjątkowej.

Jeśli chcesz kupić coś naprawdę solidnego, ale zarazem tanio, śpiesz się, bo możesz to dostać tylko w firmie

Józef KŁODECKI

Zamkowa 17, tel. 9-28.

Przyjdiesz do nas, a dostaniesz wszystko:

Krawaty, rękawiczki, pończoszki w największym wyborze, najmodniejsze, tylko co otrzymane, letnie bluzki i szlafrociki, przeszlifowaną bieliznę damską i męską, jak również bieliznę pościelową i trwałą, ciepłe kołdry z własnej pracowni. Nasze wyprawy ślubne uchodzą za najbardziej doskonałe.

Akademicy dobrze wiedzą: Największy rabat u Kłodeckiego.

B A J K A

IMIENINY WILKA

O imieninach maluczkich rzadko się pamięta.

W imieniny możnych są święta.

Stąd w lesie uroczysta

atmosfera, bo sprawa jak kryształ przejrzysta,

że w imieniny wilka, księcia puszczy, festyn nie byle jaki

muszą urządzić zwierzaki.

Kłopotów było co niemiara:

każdy się starał,

by jego udział wypadł najwspanialej,

w największej skali.

Słowiki nagrywały na płycie

piosenki śpiewane o świecie.

Z odwagą, podziwu godną, zajęcza brać,

by coś wilkowi dać,

ukradła owcę z pola.

Lis się ukrutnie namozolił,

namawiając kozę, by się wilkowi oddała —

nie chciała,

bo może by wilk był syty lecz ona niecała.

Pod kierunkiem sowy wszystek zwierz dziki

pisał panegiryki.

Akademie przygotowały ptasi rozgłośnie.

Kot siedząc na sośnie,

rzekł do przebiegającego jelenia:

„Jakież cudne uczucie dla wilka opromienia

las cały!

Uroczystości będą wspaniałe!”

Jeleń rozejrział się i szepem: „Nikt go nie znośli!”

„Więc pocóż się taki gwałt „ku czci” podnosi?!”

— parsknął kot. A jeleni cicho:

„Bo może zagryźć to przekłete licho!”

J. Ł. P.

Przykład i przestroga

Dostatecznie znana jest rola, jaką w przemyśle i handlu odrodzonego Państwa Polskiego odgrywają żydzi. W jaki sposób do tego, doszło, jakich należy użyć środków, aby zmienić ten anormalny stan — to, rzecz, wykraczająca poza ramy niniejszego artykułu w którym chcę poruszyć jedynie sprawę t. zw. kas bezprocentowych, obsługujących drobne rzemiosło żydowskie.

W Polsce Niepodległej żydzi łądrazu — silniej, niż przed tym — zostali narażeni na konkurencję kupiectwa i rzemiosła chrześcijańskiego. Wyłoniła się konieczność zwalczania gojów na polu ekonomicznym i popierania m. i. drobnych warsztatów żydowskich, aby mogły one zdystansować konkurentów. Tu jest geneza żydowskich kas bezprocentowych, których zadaniem jest udzielanie bezprocentowych pożyczek drobnym kupcom i rzemieślnikom.

Organizacją kas bezprocentowych zajął się powołany przez żydostwo amerykańskie t. zw. Amerykański Zjednoczony Komitet Rozdzielczy (w skrócie Joint). Joint początkowo udzielał «ciemnym» przez Polskę współplemioncom pożyczek bezzwrotnych — potem jednak przeczcił się wyłącznie na popieranie idei kas bezprocentowych. W r. 1926 — została stworzona w Warszawie Centrala Kas Bezprocentowych (w skrócie C. K. B.), w r. 1933 — ilość zarejestrowanych K. B. na terenie Polski i Gdańska wynosiła 669; w r. 1936 — 722. Do tych liczb należy dodać olbrzymią ilość kas niezarejestrowanych gdyż dopiero wówczas możemy dokładniej uświadomić sobie korzyści, jakie stąd czerpią drobni kupcy i rzemieślnicy żydowscy.

W/g «Wiadomości Statystycznych» Głównego Urzędu Statystycznego (za r. 1926) w Warszawie istnieje 94 K. B.; w Białymstoku — 67; we Lwowie i Lublinie — po 65; w Wilnie — 64; w Tarnopolu — 49; w Łodzi — 48; w Krakowie — 44; w Po-

znaniu — 1 (słownie: jedna kasa bezprocentowa) etc.

Widząc powodzenie kas bezprocentowych i ich ciągły rozrost (w r. 1928 — kapitał 2.066.327 zł.; w r. 1934 — 4.530.748 zł.) Joint usamodzielniał C. K. B. oraz powołał przy niej Biuro Ekonomiczno-Statystyczne, nie zapominając przy tym wszystkim o ciągłym subwencjonowaniu C. K. B. (np. subwencje Jointu wyniosły w r. 1928—829.500 zł.; w r. 1930—1.011.591 zł.) Zadaniem w/w Biura jest stała kontrola sytuacji gospodarczej rzemiosła żydowskiego oraz badanie możliwości stwarzania nowych placówek; pozatym Biuro śledzi także powstawanie warsztatów chrześcijańskich, udzielając ziomkom pomocy finansowej w zwalczaniu współzawodnika. Tu więc znajdujemy źródło często występującej, a nabierającej nainnych tanioci warsztatów żydowskich.

Na zakończenie ciekawy szczegół, świadczący o znanej solidarności żydowskiej: w każdej miejscowości, liczącej 300 osób wyznania mojżeszowego musi być założona kasa bezprocentowa, gdzie osób takich jest mniej C. K. B. przydziela fundusze osobie najbardziej wiarogodnej.

Do tego samego tematu po stronie polskiej przejdziemy w następnym artykule.

PAWEŁ DELALICZ DE LAWAŁ

ZAKŁAD KRAWIECKI

Zygmunt Sakowicz

były majster firm petersburskich

przyjmuje obstalunki w zakresie

krawiectwa wchodzące

Ceny bardzo niskie

Wilno, Jagiellońska 6 m. 19.

Najlepszą obroną jest atak

Modnie jest dziś mówić o walce z komunizmem. Od skrajnej prawicy do umiarkowanej lewicy rozbrzmiewa w Polsce hasło: «Nie dopuścimy do dyktatury komunistycznej».

Głosy także nie zawsze są szczerze. Jedni bowiem kierują się obawą przed utratą przywilejów społecznych i gospodarczych, inni woleliby umiarkowany socjalizm, a dla większości najbardziej przekonującym argumentem antykominternowskim jest widmo «czerezwyczejki» i obzów koncentracyjnych.

Antykomunizm jednak kwitnie. Wszyscy czują, że jesteśmy w przededniu wielkiej rozgrywki.

W powietrzu zdawałoby się wisi coś w rodzaju atmosfery roku 1920. Czekamy rychło li padnie hasło tworzenia ochotniczej armii i hasło obrocy. Właściwie nie czekamy, bo hasła te padają zewsząd (ostatnio nawet u płk. Koca) ale przyznać trzeba szczerze, że czegoś w nich brak, coś jest w nich takiego co może być dogodne dla wielu ludzi ale stanowczo nie podoba się nowej, specyficznej warstwie społecznej jaką, jest w Polsce młode powojenne pokolenie, a szczególnie tej jego większości, która wychowała się pod bojowymi znakami O. W. P.

Jakoś trudno nam znieść to słowo: Obrona. Ciągłe słyszymy o «obronie państwa» o obronie ducha, a obronie polskiego stanu posiadania i t. p. i przynajmniej szczerze że nam to w gardle stanęło. Nie dlatego, że byśmy w tych wszystkich hasłach nie widzieli słuszności, ale dlatego, że są one objawem «psychologii rozbiorowej».

Toż to także charakterystyczne dla wspomnień z czasów gdy rządili zaborcy: «Pamiętam jakżeśmy bronili Polski przed Moskalami». «Trudna to była sprawa obronić prawa polskiego narodu do polskiej mowy» i t. p.

A czasy zmieniły się. Wszystko to co mieliśmy obronić, wszystko co było zagrożone u podstaw — obroniliśmy. Teraz przychodzi kolej na inne stawianie sprawy. Może ktoś mówić, że i teraz pewnym wartościom naszego życia grożą różne czynniki, choćby wymienić komunizm i dlatego, ciągle gotujemy obronę. Może ktoś zapytać z oburzeniem: czy w rzeczywistości młodzi nacjonalści polscy nie widzą potrzeby obrony narodu czy państwa?

Na to może być tylko jedna odpowiedź. Chcemy raz nareszcie ataku, mamy dość broniących jednych pozycji, chcemy wyjść z okopów i rozszerzać teren. I dlatego właśnie razi nas ta nieprzerwana obronność — bo ciągle wzdychanie do świętego spokoju i narzekanie na możliwość napaści — bo chcemy pędu naprzód, chcemy Wielkości naszego Narodu.

Polska nie jest Litwą ani Estonią, które ilość mieszkańców i sytuacja geograficzna zmuszają do stałego wyczekiwania na to że ktoś silniejszy zechce po nie rękę wyciągnąć. Polska jest dużym państwem w Europie, posiadającym zdolną i liczną ludność — naród polski nie ma prawa żyć z dnia na dzień.

Dla tego w psychologii Polaków trzeba słowo «obrona» zgnębić, trzeba zamienić je w pojęcie «walki» i trzeba odpowiednio do tej «przeróbki» psychicznej — dokonanej już zresztą w duszy młodego pokolenia — postępować.

Ale jakie ma być głębsze podłoże tej nowej taktyki. Dotąd wiedzieliśmy, że bronimy granic, ustroju i t. p. — teraz będziemy walczyć ale... o co?

O wypełnienie misji naszego Narodu!

POMIĘDZY RYZEM I JEROZOLIMĄ

Położenie geograficzne Polski przez wieki nie bardzo się zmieniło. Przesunęliśmy się trochę z zachodu na wschód, a sąsiadów właściwie mamy ciągle tych samych.

Ale nie tylko ludzie i geografia są istotnymi czynnikami określającymi rzeczą poło-

żenie w Europie. Jeszcze istotną naszą będzie ustalenie kultur, które nas otaczają. Te bowiem zmieniły się.

Przed wiekami mieliśmy na wschodzie sąsiada o rysach kulturalnych europejsko-azjatyckich, był to typ — słowiańsko-mongolsko-bizantyński. Zachód przez dłuższy czas był jednolicie rzymski z różnicami na tle odcieni plemiennych. Dzisiaj jest inaczej.

Azja, nie ta, daleka, ze stepów Turańskich, ale bliska z nad brzegów Tygrysu, z wybrzeży morza Śródziemnego, od kilku wieków oddziałuje na Europę i stara się z dużym powodzeniem zatrzeć jej rzymski wygląd.

Kultura Europy uległa fali semickiej. Można to łatwo zaobserwować na instytucjach ustrojowych jak i na światopoglądach.

Może zbyt mocne twierdzenie i trudno je udowodnić w publicystycznym artykule, ale wystarczy zaobserwować rozwój socjalizmu i komunizmu aby zorientować się, że nie przyjeliby Francuzi, Hiszpanie, Niemcy i Rosjanie tego talmudyczno-rabinackiego pojmowania świata, gdyby nie przygotowały ich do tego wiekowe wpływy semickiej kultury.

Te wpływy semickie wystąpiły bardzo

mocno zarówno przeciw katolicyzmowi Zachodu, jak przeciw rzymskim instytucjom i nawet przeciw tradycyjnym obyczajom i poglądom narodów.

Wywarło to swój wpływ i to tak mocny, że możemy cały przeszły wiek nazywać okresem panowania kultury żydowskiej na zachodzie Europy. Kultury, którą najdosadniej charakteryzują międzynarodowa organizacja finansów, międzynarodowe organizacje rewolucyjne i rządy międzynarodowych klik masonskich.

Europa zmieniła trochę kulturę — przybył jej odcień azjatycki.

To samo ale w jeszcze mocniejszym stopniu stało się na wschodzie w Rosji gdzie komunistyczny pierwiastek kultury semickiej dodał jeszcze więcej «azjatyizmu», obliczu duchowemu Rosjanina.

MISJA DZIEJOWA POLSKI

My Polacy wierzymy w niezniszczalny pierwiastek chrześcijański i uznajemy rzymską metodę organizowania świata. Jesteśmy przez to bliscy włoskiemu faszyzmowi. Polskę ochrzczono kiedyś mianem «przedmurza chrześcijaństwa». Dziś musimy zostać apostołami porządku społecznego

W związku z artykułem Waława Jastrzębca „O silną postawę antykomunistyczną“ w numerze 4-ym naszego pisma, zamieszczamy otrzymane artykuły, traktując je jako materiał do dyskusji, którą otwieramy. Uważamy, że kulturalna ofensywa nacjonalizmu jest obecnie sprawą bardzo wielkiej wagi.

W odpowiedzi wątpiającym

Coraz to częściej słyszę przepowiednie o bliskiej walce między zwolennikami zaciśniętej pięści i wielbicielami podniesionej dłoni; coraz częściej mówią mi, że musi nastąpić stanowca rozgrywka między «folksfrontem» i «faszyzmem»; coraz częściej sam powtarzam, że należy oczekiwać w Polsce (a może i nie tylko w Polsce) generalnego starcia między komunizmem a nacjonalizmem. Ale w chwilach rekolacyjnych — pytam sam siebie: coż się stanie z tym, który był zawsze dotychczas zwycięzcą? Z katolicyzmem?

Słyszałem od ludzi, «którzy stoją ponad walkami religijno-politycznymi» zdanie, że «jednak» ostatnie słowo, końcowe zwycięstwo przypadnie w udziale katolicyzmowi. Cytuję ich słowa: «Katolicyzm, jeśli tak można powiedzieć, może sobie spokojnie czekać z założonymi rękoma. Niech się nacjonalizm z komunizmem gryzie. Ktoś z nich przecież przegra. A wtedy wypoczęty katolicyzm łatwo się rozprawi ze zmęczonym zwycięzcą». Nie chcę widzieć sarkazmu i drwiny w tych słowach. Biorę je poważnie. I zdaje mi się, że to mało prawdopodobne. Wykorzystywanie zasady: «gdzie się dwóch bije tam trzeci korzysta» nie godzi się z wrażliwą etyką katolicką. Historia nie upoważnia nas do tego, byśmy mogli przypuszczać, że katolicyzm, z zimną krwią, będzie podjudzał przeciwników, by na ich gruzach budować Kościół. Dziś zresztą — to już niemożliwe. Pius XI mimo starości i ciężkiej choroby zrezygnował z wygodnego czekania i z «politycznie doskonałej pozycji»; dla niewzruszonych i wyraźnych zasad, gotów jest prowadzić wojnę na dwa fronty: z Moskwą i Berlinem.

Po ukazaniu się czwartego numeru «Spraw Otwartych», w związku z jego artykułem wstępnym, spotkałem się z innym zdaniem: «Idea katolicka niema nic wspólnego z nadchodzącymi walkami politycznymi. Katolicyzm nie powinien się wtrącać do tych walk. Nie ma żadnych po temu uprawnień; nie może się tym interesować». Nie miałem możliwości wyszukiwania dowodów naukowych i referowania ich ponieważ jednak trzymałem kiedyś w ręku książkę prof. L. Köplera «Kościół a polityka» skorzystam z niej, jako z punktu wyjścia.

Autor na wstępie stawia sobie interesujące dla nas pytanie: czy religia ma coś wspólnego z polityką? I twierdzi, że potrójne bywały odpowiedzi. Liberali, socjaliści i komuniści uważają, że sprawa religii i wiary jest sprawą swojego własnego sumienia. Oni to są twórcami tego słynnego hasła «religia jest rzeczą prywatną». Na wręcz przeciwnym stanowisku stali teolodzy śred-

niowiecni, którzy byli przekonani, że nie ma takiej dziedziny w życiu publicznym czy prywatnym, która by nie podlegała religii i kościołowi, że kościół ma bezpośrednią władzę nad państwem. Köppler uważa, że obie te odpowiedzi są złe i daje trzecią według niego właściwą, pośrednią między tymi dwoma: Jeśli polityka zajmuje się sprawami, które należą do dziedziny religii, to wtedy religia ma głos w sprawach polityki, jeśli zaś polityka zajmuje się sprawami, które ze stanowiska religii są oswartymi — to nie. Köppler tłumaczy to dokładniej: są więc sprawy czysto polityczne, jak np. kwestie, «czy zaprowadzić monarchię czy republikę, czy ma być armia stała, czy też ma to być milicja, czy ma obowiązywać trzyletnia, czy też ośmiomiesięczna służba wojskowa» i t. p., są sprawy czysto religijne, jak «to czego uczy objawienie Boskie», «co nakazuje, albo czego zakazuje moralne prawo Boże», «czego i jak należy uczyć z ambony, kiedy i jak dzieci mają pobierać naukę religii, kiedy je należy dopuszczać do Sakramentów, czego potrzeba do przyjęcia do kościoła» i t. p., i są sprawy mieszane, takie, które dotyczą, życia duchownego i świeckiego. Te zaś sprawy mieszane, mogą być albo mieszane same przez się, jak małżeństwo, wychowanie młodzieży, opieka nad ubogimi, chorymi i t. p., albo mieszane przypadkowo, a więc: sport, kino, teatr, ubiór (mogą nosić na sobie znamię grzechu).

Gdybyśmy się więc tylko zgodzili z Köpplerem, t. zn. przyjęli jego tezę, że religia częściowo musi się zajmować polityką, to zwróciwszy uwagę na to, że komunizm nie tylko ingoruje w sprawy mieszane, a więc tak w kino, teatr jak w małżeństwo i wychowanie, ale swą akcją bezbożniczą, wgląda w sprawy najczystszej duchowne, musielibyśmy się zgodzić z tym, że katolicyzm powinien aktywnie zajmować się komunizmem.

W pierwszej chwili wydaje nam się, że Köppler wogóle ma rację. Takie właśnie rozsądne, kompromisowe postawienie sprawy. Ale już w chwilę potem orientujemy się doskonale, że to jest tylko nasze złudzenie, powstałe wskutek tego, że wychowanie nasze opiera się jeszcze na wieku XIX. Köppler właśnie na skutek tego swego kompromisowego rozsądku jest przestarzały. Pisał on swoją pracę dla walki z socjalizmem i niestety poznajemy go, jako rówieśnika socjalistów, z ich mentalnością. Krzywi się na liberałów, a sam, w pewnej mierze, jest liberałem. Przestarzały jest on używając wyrazów: religia, Kościół, kler, jako pewnego rodzaju synonimów; dla nas są to rze-

opartego o wiarę chrześcijańską i kulturę rzymską. Musimy stworzyć u siebie narodowe państwo oparte o te pierwiastki i pchnąć Europę na ten sam tor.

To jest misja dziejowa Polski — to jest najogólniej pojęta idea Wielkiej Polski.

Odbiega to daleko od wazkiego antykominternowsko-antysemickiego stanowiska Hitlera. Tamto — to namiastka wobec zadań jakie młode pokolenie widzi przed Polską. Rzecz jasna, że w zadaniach tych mieści się front przeciw komunizmowi i jego talmudycznym autorom. Ale to nie obrona takiej czy innej konstytucji z istniejących obecnie, to nie obrona państwa, czy narodu nawet.

To nie jest program «konsolidacji» w tym celu, aby zachować jednemu fabrykę, drugiemu majątek, trzeciemu posiadłość a czwartemu święty spokój.

To jest program Wielkiego Ataku, ataku przedsięwziętego w tym celu aby Europa została oddana we władanie wiecznym ideom dobra i siły — ideom Rzymu, i aby Naród Polski zdobył sobie wielkość w walce o spełnienie tego zadania.

STEFAN ŁOCHTIN

czy, jeśli nie różne (a mogą być różne), to w każdym bądź razie inne. Nawskroś starodawne jest jego przypuszczenie, że komunizm może się zgodzić na to, by religia i wiara były «sprawą prywatną». Dzisiejszy komunizm gotów by religię wyrwać z najintymniejszego zakątka sumienia. I wreszcie przestarzały jest ponieważ sądzi, że możliwą jest jakaś dziedzina, w którą religia mogłaby nie wglądać. Dla dzisiejszej młodzieży teistycznej teza nie do przyjęcia. Nie ma dziedziny, którąby wolną była od zachowywania i przestrzegania zasad religii.

Tak więc czy staniemy na stanowisku naszego wieku, czy na stanowisku Köplera z poprzedniego wieku, twierdzenie, że katolicyzm nie powinien się interesować obecnymi walkami politycznymi jest poglądem «przedpotopowym».

Jeśli więc katolicyzm musi wziąć udział w walce z komunizmem, powstaje nowe pytanie, coż się stanie z nacjonalizmem? Czy jemu nie przypadnie ten nieszczęsny środek? Czy warto nam kaolikiem angażować się w jego szeregach po to, by się narażać na konflikty dwóch odmiennych programów.

Oczywiście nacjonalizm jest dziełem myśli człowieka, stąd może różne kierunki przybrać. Jeśli jednak chodzi o nacjonalizm polski, o program Obozu Narodowego, o jego realizację, przez młodzież narodową, to pomijając te czy owe wyłamania się z pod tego programu (ludzka rzecz jest błędzić), nic nas nie upoważnia do tych obaw. Zwróciwszy poza tym uwagę na to, że nacjonalizm nasz grupuje tylko katolików, można być pewnym, że nie pozwoliła mu oni na drogę niezgodną z ideą katolicką.

Wreszcie ostatnie pytanie, ostatnia wątpliwość. Jeśli wierzymy, że katolicyzm zwycięży zawsze musi, jeśli wiemy, że weźmie on udział tak w walce z komunizmem, jak w tworzeniu nowej rzeczywistości polskiej, w takim razie czy warto się rozpraszać i rozdrabniać energię na dwa programy? Skonsolidujmy się raczej i całą niepodzielną energię oddajmy walce o chrześcijańską kulturę jutra, nie myśląc o programach i państwach narodowych.

Zanim przedziemy do rozważenia tych wątpliwości, pozwolę sobie na przytoczenie pewnego przykładu; było to w gimnazjum, w jednej z średnich klas. Katecheta nasz ujrzawszy, że modlimy się w kościele z książeczek do nabożeństwa, zwrócił się do nas, podczas nauki religii, z taką mniej więcej radą: «Powinniście się starać o modlitwę jak najdoskonalszą. Powinna ona być przede wszystkim przez was samych stworzona»

(Dokończenie na str. 5-iej)

Z DRAJCOM—POEZJI

«Poezja z samej swej natury musi być niszczyliską eksplozją, wyzwalającą ukryte wartości».

Pytam — co zrobić z poezją, która nie wyzwała żadnych wartości, przeciwnie zabiera istniejące — potrzebne jak tlen, ogólna współczesnych z ich mrzonek, zabiera codzienne rekwiizyty trwania — czy przez to samo przestaje być poezją, a jeśli nie przestaje — w takim razie poezja ma dwie natury, a jeśli dwie to może i więcej.

I wtedy — tonący w poezji — nie konieczne ma zaraz chwycić za pesymizm. Jest tyle innych postaw filozoficznych — które nas przez poezję — oddalają od nas samych, mamy tyle sposobów — ratowania się przed paniką wewnętrzną — że cecha pesymizmu poezji — przestaje być najważniejsza. Przestaje być nawet tak silna: zamiast pesymistycznej — jest tylko smutna, z ponad ludzkiej staje się ludzka — i wtedy już nie wywołuje ani «metafizycznych tęsknot», ani snobistycznych wzlotów, ani literackich upadków.

Mówimy mimo to dalej o tej poezji, że jest wielka, że oddziaływała i cytujemy inne nazwiska, tak samo wielkie i znane, czasem nawet te same nazwiska (Mickiewicz, Tagore, Whitman).

Siły zaczynamy szukać — nie w pesymizmie, a w innych cechach poezji: wzniosłości, filozoficznym spokoju zrównoważenia, witalizmie niezniszczalnym.

I wtedy nie ma — ani «mystyki słodkiego cierpienia», ani chorych na przerost poezji w życiu osobników, ani «rozkosznych omdleń» trawiących myśl poetycką.

Zostaje krytyczna przesada i czytelnice przewrażliwienie. Wtedy nawet poezja przestaje być zdradą.

Nie ma kogo zdradzać.

W ten sposób nie podejrzany logicznie, a estetycznie — prawdopodobny — posuwając się dalej — można zacząć twierdzić, że nie «poezja transfiguruje ten świat i dekomponuje», lecz świat — dekomponuje i transfiguruje — poezję.

Poezja jest odbiciem świata, jest jego oddechem, łączący się nieuchwytnymi związkami krwi z jego atomami, i wraz — z bieżącą chwilą świata — albo jest wielka, albo mierna.

Poezja nie była heroldem — który by obwieszczał samorzutnie, że od tego i tego momentu — rozpoczyna się nowy okres w dziejach świata, przeciwnie — nowa epoka kazała poezji obwieszczać własny triumf.

Poezja nie poprzedzała — tylko postępowała za. Nie była awangardą bojową — tylko markietanką — zdolną, ale rozbijającą swoje namioty — już w obozie przed tym założonym przez inne dyscypliny postępu i zmiany.

Dlaczego — kiedy świat zmieniał swoje oblicze duchowe — istniejące kategorie piękna poetyckiego — nie przeciwstawiały się temu skutecznie?

Bo były zależne od świata, były jego ciałem dyplomatycznym, wieszczącym — prawdą, że nie zastąpionym, ale niemniej zależnym.

Kiedy poeta — zrobił rewolucję? A ilu rewolucja — dała poetów? Tutaj stosunek zależności od świata — widoczny jak na dłoni, wyraźniej — jak na dłoni pod mikroskopem. Rzecz jasna, że poezja nie staje się przez to — mniej ważna, staje się natomiast — prawdziwsza.

Wiersz — o największej luszczarni ryżu w świecie — w Gdyni, nie jest mniej ważny dlatego — że luszczarnia istniała wcześniej.

niż on — ale może być tak, że luszczarnia przez ten wiersz — stanie się większa i ważniejsza.

I to jest w pojedynku poezja — świat najważniejsze: czy świat przez współczesną mu poezję stał się większy, doskonalszy, prawdziwszy.

Poezja korzeniami wrasta w głębi świata — odżywia się jego tematami, zakwita — jego wzniosłością, wabi — jego pięknem niezgłębionym.

Poezja — to bilet wizytowy współczesnych mu czasów, współczesnego mu świata.

Średniowiecze — epoka religijnej ekstazy, w poezji — rozmodlenie, epoka rewolucji i wojen o wolność ludów — buntownicza, rewolucyjna poezja romantyczna, nasz mechanistyczny wiek — kult poetycki «miasta, masy, maszyn», poezja mechanistyczna, poeta — mechanik.

I tak świat — transfiguruje poezję, jest dla niej tubą i rezonatorem.

Rzecz krytyka — jest prawie zawsze — kamienować poezję. Oskar Wilde — mówi, że «w epoce najwyższego rozkwitu sztuki — nie było krytyki literackiej» — i ma zupełną rację. Ale co innego krytyk, co innego czytelnik krytykujący, czy krytyczny.

I tu wreszcie miejsce na wyjaśnienie jeszcze jednej sprawy: nie zawsze poezja działa tak na czytelnika — jak myśli krytyk. A myśli tak: «niejednokrotnie z silnego człowieka, świadomego swych celów i najmniejszych nawet zamierzeń, «robi się» — nędzne, pokurczone psychicznie, neurasteniczne potyczki».

Czy poezja powinna wisieć — za wszystkich samobójców dlatego, że komuś — po przeczytaniu Zahradnika czy Luberta — przyszła ochota strzelić sobie w łeb.

W takim razie — konfiskujemy wszystkie tomiki poezji, nie wydajemy klasyków, nie robimy wieczorów literackich, bo nigdy przecież nie wiadomo — czy przez to nie zmniejszymy śmiertelności, a bardzo prawdopodobne — że będzie to czyn wartościowy.

Czynić poezji z tego zarzut — to konsekwentnie zdążyć do zostania uniwersalnym cenzorem poezji całego świata, co na siłę jednego człowieka (który tak myśli) — stanowczo za wielka sprawa.

Ale to wszystko — jeśli się zgodzić, że poezja tak defetystycznie wpływa na człowieka.

A przecież tak nie jest: istnieje poezja, która jako reakcję wywołuje czyn, a nie neurastenię i przewrażliwienie.

Nie wiem — czy w zdobyciu Bastylii — brali także udział i poeci, ale, jeśli mam szukać najłatwiejszych przykładów — byli robotnicy, którzy odznaczali się większą wydajnością pracy — po recytacjach Majakowskiego.

W pieśni — niechybnie są pierwiastki poezji, a więc i pierwiastki czynu — dlatego łatwiej było zwyciężyć z «Warszawianką» i «Marsylianką» — aniżeli bez nich.

Wielka poezja — częściej dekonspiruje naszą ślamazarność i rozinazanie, aniżeli wtrąca nas w ten bezwład.

Czy Grecy — byli neurastenikami, chociaż mieli najwspanialszą twórczość poe-

tycką, chociaż Grecja — była kolebką wszelkiej poezji?

Grecja była niechybnie — ziemią czynu, poczynając od olimpiad, kończąc na Termopilach i Maratonie, bo była przedewszystkiem ziemią poezji.

Największą zatem reakcją na poezję jest czyn — mniejsza o to duchowy czy fizyczny.

W taki sposób — próbowaliśmy w innych wymiarach — rozwiązać zagadnienie poezji — patrząc na nią ze stanowiska raczej człowieka, niż krytyka.

W takich wymiarach — ci, którzy mówią, że poezja zdradza — wydają się nam sami zdrajcami, wydającymi ją na pastwę — nieświadomych czytających.

Moment takiego traktowania poezji — nawet, jeśli się używa do tego cytaty Goethego, i więcej — właśnie z powodu użycia tych cytaty — wydawał się nam niesprawiedliwy.

I czyż tak rzeczywiście nie jest krytycy — amatorzy?

WINCENTY MACKIEWICZ

Środy w Związku Literatów

28 kwietnia 1937 r.

Wieczór ostatni zapełnił odczyt dr. Ordy «O odrębności sztuki Wilna i Wileńszczyzny». Tytuł zapowiadał wiele, zapowiedzi jednak nie zawsze pociągają za sobą dopełnienie słów.

Przyznaje, że się na plastyce znam mało. To jednak, co usłyszałem zachwiało mymi, zdawałoby się ustabilizowanymi i sprawdzonymi poglądami.

I tak dr. Orda wykrył w sztuce Kresów pierwiastek «rzymskości». Była mowa i o Eneasz i Eneidzie i o legendarnym «Żelaznym Wilku». Bardzo interesujące rzeczy, wręcz nawet rewelacyjne, ale co to ma wspólnego np. z wileńskimi garnczkami?...

Druga cecha odrębną jest niesłychane upraszczanie form przez autochtonów. Jako przykład pokazał prelegent «tutejszy» renesansowy nagrobek jednego z Radziwiłłów i barokowy nie pamiętam już czyj z «zachodu». Zgadzałem się z prelegentem, że Radziwiłła był znacznie prostszy. Takie już były renesansowe zwyczaje...

Tego typu gaff było kilka. Poza tym usłyszałem szereg rzeczy istotnie ciekawych, niemniej jednak podanych w sposób tak bezładny, że chwilami odnosiło się wrażenie, że np. okres sztuki neo-klasycyzmu poprzedzał w Wilnie okres rokoka. Nie sądzę, by prelegentowi chodziło o lansowanie tego rodzaju poglądów.

Krótko mówiąc, na odczycie mścił się w sposób wyraźny brak «pionu», «kręgosłupa», czy jakiejś podobnej konstrukcyjnej podpory.

Mimo wszystko nie dowiedziałem się, na czym polega odrębność sztuki kresowej, o jej związkach z Zachodem natomiast usłyszałem bardzo dużo. S. S. O.

W odpowiedzi wątpię

i szczerą, a nie tak «odklepaną z książeczki». Słowa te były przekonywujące, tak, że rzeczywiście wielu z nas nie przynosiło już książeczek do kościoła — trwało to czas dłuższy. Bodajże pół roku. Wtedy to, w bardziej szczerzej rozmowie, któryś z nas przyznał się, że mu ta modlitwa idzie ciężko. A po coraz szczerzej rozmowie, okazało się, że prócz kilku początkowych, nieudanych prób, przez całe pół roku w ogóle nie modliliśmy się. — Czyż możemy odmawiać słusności słowom tego katechety? Bynajmniej. Tylko zawczasie tych rad nam udzielili.

Podobnie i wy wszyscy którzy walczyli o chrześcijańską kulturę jutra, o życie ściśle wzorowane na Ewangelii, o stronictwa katolickie. Nikt nie przeczy, że idee wasze są wzniosłe i godne szacunku. Ale jesteście utopistami, ludząc się że ludzie wychowani w duchu liberalizmu i materializmu XIX w., ludzie, którzy nie rozumieli zasady miłości bliźniego, nagle zrobią przeskok, odczują i zrozumieją miłość do absolutu. Jesteście utopistami. marząc o tym, że ci «katolicy», którzy dziś są jeszcze przekonani, że w handlu nie można się obejść bez oszustw, a posady zdobyć, czy egzaminu

złożyć, bez protekcji, nagle zaczną żyć ściśle według Ewangelii. Tak jak uczeń z drugiej klasy nie może przejść do siódmej, jak po wieku XIX nie mógł nastąpić XXI, tak w życiu społecznym i politycznym nie obejdzemy się bez «książeczki do nabożeństwa». Tą zaś «książeczką» jest nacjonalizm: idea oparta na naturalnej, powszechnie zrozumiałej miłości.

Wnioski więc moje są jasne: katolicyzm nie tylko może, lecz i musi wziąć udział w walce z komunizmem i w tworzeniu Nowej Polski. Katolik nie tylko może, lecz i musi wziąć udział w tej walce, w szeregach nacjonalizmu. Nie ma prawa mówić katolik, że z tytułu swego katolicyzmu, może się zmieścić w każdym programie, w każdej partii, byleby ona była zgodna z katolicyzmem. Jeden jest tylko program, jedna partia, dla człowieka myślącego realnie, pragmatycznego skutków swej działalności.

Tylko nie trzeba żądać, by nacjonalizm był przeintelektualizowanym mózgiem katolicyzmu. Siłą jego jest gorące serce i mężne, obronne, sprawiedliwe ramie.

HENRYK POLAKOWSKI.

Schron przeciwdeszczowy

(nowele — szkic)

— Już nie mogę! Mamo, już nie mogę, nogi boją...

— Jeszcze trochę. Nie krzycz tak. Za pół godziny będziemy odpoczywać... wygodnie. Mam upatrzoną chatę. No jeszcze trochę. Taki duży chłopic...

Wiedziała dobrze, że to Stasia nie uspokoi — piechotą taki kawał...

— Nogi boją, nogi boją! — ze łzami powtarzał Staś, przebiegając zboląłymi kulaskami po zakurzonej drodze. Pół godziny! Też pociecha! Dla ojca, matki i Wandy, to pewnie krótko, a dla niego — oho! Już cały dzień z małą przerwą biegnie tak po tej szarej drodze, obok łąk, rzeczek, lasów. Drepce, trzymając matkę za spódnicę, jak gdyby chciał ją zatrzymać w nieskończącej się podróży. Już nie mówi «proszę wziąć na ręce». Wie przecież, że takiego dużego, pięcioletniego chłopca, nie może dźwigać ani ojciec, niosący jedzenie i taboły z ubraniami, ani matka z wężłami bielizny.

Miękka droga, przyjemny piasek, który po wyjściu z miasta tak mile przesypywał się między palcami nóg, teraz stał się blachą palącą przy każdym kroku.

Szli na Litwę. Gdzieś tam, do jakichś krewnych, czy znajomych, co mieli folwark i dużo chleba. A w mieście chleba nie było. Staś pamięta, jak przedwczoraj zbierał okruszki pod stołem, a matka cicho płakała. Kiedy wybiegał na ulicę widział często grupkę ludzi z białą trumną na ramionach czterech mężczyzn.

— Czemu teraz tak dużo starych ludzi — mamo? Tak dużo umiera?..

A umierali i starzy i młodzi. Ci, którzy od tygodnia, albo od kilkunastu dni nie jedli i ci, którzy jedli pokrywę, chleb z trocin. Pogrzeby za pogrzebami. Ulicę Słoneczną przykryły chmury. Smutno, nieruchliwie. Czasem tylko przejeżdżał oficer niemiecki parą koni w powozie z młodą panią. Kilka razy zatrzymały się konie i przerażony Staś, podniesiony do góry, wędrował na ręce pani Niemki. Obcy rozmawiali coś chwilę, pani wychodziła, a potem z kieszeni oficerskiej zjawił się duży kawałek czekolady. Powóz jechał dalej.

Czekolada! Zupełnie taka sama, jak tamta ze sklepu, jak tamta, którą kiedyś mama kupowała. Biegł do domu krzycząc.

— Mam pud czolady, pud czekolady! Pud z funtem pomieszały mu się, a zresztą i to i to — bardzo dużo.

Potem wszystko znikło. Pewnego dnia usłyszał, jak matka w kuchni zcichła powiedziała stróżce:

...nie możemy jechać... niema już pieniędzy... kolej tam nie chodzi. Chyba musimy, dalej nie można... mąż puchnie... z głodu — przytaknęła stróżka.

Wczesna jesień zakryła złotem przydrożnych liści miasto, gdzie o każdej godzinie z różnych stron ciągnęły konduktu pogrzebowe.

Droga szła wzgórzem. W dole zostały wieże, co lśniły na pogodnym niebie, jak świece na ołtarzu kościelnym. Jeszcze z kilku kilometrów widać było ten najwyższy krzyż, rzucający w przestrzeń promienie światła.

Potem lasy okryła jesienna, niebieskoszara mgła; łązy nad strumieniami opłoty się galeźmi — jak dzieci w zabawie «koło nasze koło».

Po głębokich koleinach — wybojach drogi jechały wozy, szli ludzie. Dalej, dalej od miasta, gdzie w owym pamiętnym roku zaleka — z zachodu przywędrował głód w pikelhaubach, na codzień pokrytych matowami pokrowcami, na święto (defilada) błyszczących czernią posępną, jak oczy głodnych ludzi. To nie była jeszcze droga powrotna, to był wciąż Drang.

Po drogach uciekających z miasta sunęły wybladłe, wynędzniałe postaci — na wieś. Wszystko jedno: kopać kartofle, było paść, może nawet kraść — wszystko, byle żyć. Życie uśmiechało się ciepłem, czerwienią rodinnego miasta i sznurami ciemnej zieleni u kresu ludzkiego wzroku. Życie leżało po obu stronach drogi i tam dalej — na przdzie. Z jednej strony tylko była śmiertelna barykada — na rogatkach miasta. Obejrzeć się na łuki kościołów, linie krętych uliczek, na te miejsca ukochanego, codziennego trudu — znaczyło spojrzeć w twarz temu, co mgło zaciąga gasnący wzrok.

Ludzie na drodze opowiadali sobie o nieszczęściu, co ich wyгнаło. Staś nie słyszał. Albo wylamywał za drogą galezie wierzbiny i smagał napotkane pokrzywy (—wojna, wojna pokrzywom!) albo skomlał ze zmęczenia, czepiając się spódnicy matczynej.

Miasto znikło już wczoraj za jakimś wzgórzem. Dziś byli daleko. Uciekli wresz-

cie. Wciąż się jednak tłukło ono we wspomnieniach. Ciotka, uciekająca w nocy z żywnością przez druty kolczaste (...wieczne odopoczenie, racz jej dać Panie...) Jeszcze słycał było stuk siekier, ścinających w podmiejskim lesie drzewo na opał, czasem doleciał strzał, wszystko wiązało się, spajało w jeden łańcuch, który nawet Stasiowi okrył jasnowosą główkę. Jak kolejki stojące po śmierdzącej zupe i kawał chleba z trocinami, ciągnęła się owa pamięć dni strasznych.

Na drodze coraz mniej było ludzi. Jedni pozostawali, tamci znowu wymięli, szli dalej prawie bez wytchnienia, byle prędzej, byle prędzej.

Z nad lasów, jakby wypchnięte, wystraszone z legowiska wypełzły grube, opuchłe chmury. Za nimi ktoś warczał groźnie, ktoś straszyl. Wiatr najeżał włosy ludziom na drodze, klebił, kołtunił nienakryte głowy. Z piaszczystych łąk pod lasem pędziły tumany piasku. Zakłębiło się, rozkrzyżowało coś w powietrzu. Ludzie pochyleni naprzód szli. Powoli — wiatr bił w oczy, zgrzytał w zębach piaskiem. Na świat szła burza. Jeszcze jeden punkt za wioską świecił wesołym błękitem, ale i ten gdzieś rychło uciekł. Nad polami rozgrywało się niebieska bitwa o niewiadomo co — o słońce, o spokój, o pożywienie wilgoć dla zgłodniałych roślin. Ostatki letniej pogody rozblęły świecami błyskawic. Gromnice niebieskie to zapadały się to gasły. Staś wysunął język — lapał pierwsze krople deszczu. Takie duże, przyjemne krople. Tylko mało: jedna (mamo! Kropla spadła!) potem druga, wresz-

Telewizujemy!...

Widzenie na odległość. Można by sobie przetłumaczyć telewizję, jako naukę o przyszłości.

Nie zawahajmy się zostać tymi «wizjonerami» t. zn. patrzmy na odległość — w przyszłość.

Dzisiejszy stan telewizji możemy przyrównać do noworodka, który zaczyna chodzić, trzymając się stołu. Nowe to odkrycie wymaga jeszcze dużo miesięcy pokarmu i opieki, aby mogło dojść do wieku dojrzałego t. j. do takiego stanu w jakim się znajduje dzisiejsza radiofonia.

W każdym razie wolno już dzisiaj sformułować pewne hipotezy i przesiać się myślami do tej ery, kiedy telewizja będzie całkowicie dojrzała. Weźmy telewizję w momencie rozkwitu jej techniki, czy chodzi o nadawanie w normalnych kolorach, czy też o czystość nadawanie, brak skażeń obrazu i t. d.

Słowem wyobrażamy telewizję na szczycie piramidy postępu.

Po raz pierwszy człowiek będzie mógł zmieszać się z tłumem na ulicy bez wydalenia się ze swego pokoju. Po raz pierwszy ludzkość będzie miała dosłownie otwarte okno na świat.

Świat dźwięków jest ograniczony. Natomiast świat świetlny — wizualny nie daje się zmierzyć.

Niech wszyscy radio-reporterzy wszystkich narodów rzucają swoje kamery na wszystkie drogie kamienie świata, aby oddać ich grę kolorów, to i tak zostanie dużo barw kolorowych do wykorzystania.

Tak samo jak dzisiejszy odbiornik radiowy dał światu dużo domatorów, tak samo odbiornik telewizyjny zmobilizuje widzów. Obyśmy nie doszli tylko do mizantropii!

Od tego czasu ludzie podzielią się na dwie grupy, — aktorzy (czasem mimowolnie), a drudzy to widzowie. Powiążmy to z dzisiejszym radiem np. teatr wyobraźni, będzie musiał się zmienić od swoich podstaw.

Dział ten, który był przeznaczony dla słuchacza-słupca reagującego tylko słuchem, będzie musiał wrócić do zasady teatru sceny. Słuchowisko telewizyjne upodobni się do kina dźwiękowego i to przesądzi samodzielność artystyczną tego działu twórczości.

Do naturalizmu oczywiście nie wrócimy, zawsze będą rozmaite «sztuki» i «robienia efektów» wizualno-słuchowych, jak to się teraz robi w teatrze wyobraźni, tak samo zresztą, jak to się robiło w teatrze na scenie.

Całkowicie zmodyfikowana zostanie rola speakera. Przede wszystkim nie będzie się on już więcej nazywał speakerem, ale aktorem, prezentatorem, reżyserem. Wydaje się, iż termin «zapowiadacz» mogłoby służyć dwóm potrzebom dźwiękowej i wizualnej.

Zwroty speakera będą zupełnie zmienione i jak teraz się mówi: «audycje, która za chwilę państwo usłyszą...» będzie zmienione na «scenę, którą za chwilę Państwo zobaczą...». Całkowicie zmieniony zostanie dział reklamy — dzisiejszy koncert reklamy. Speaker będzie mówił: «Bieliznę którą Pań-

cie kilka razem. Sypnęło, zatłukło strugami po liściach brzozy, sypało za kołnierza, po palcach rąk. Podróżni zarzucili worki na głowy. Niedaleko stała samotna chata przy drodze. Tam można przeczekać, obechnać, wydobyc z woreczków resztki ciężkiego chleba.

W chacie trzaskało smolne drzewo ciepłem i światłem. Piec rzucał na obszerną izbę szeroki pas przytulnego blasku. Za drzwiami wiatr dobijał się, stukał, groził, to znów zebrał ciepła: wpuście i mnie, i mnie...

Odepchnięty deskami wilgotnych drzwi, leciał dalej i w drutach telegraficznych zanosił się żalem, serdecznym płaczem z bezlitości ludzkiej.

Wszystkie ławy pod ścianami obsiedli podróżni. Z ubrań unosiła się para, krople deszczu zasyczały na twarzach, oczy patrzyły w ogień. Ciepło było takie bliskie, takie swoje. Usta, zacisnięte zmęczeniem, szeptały bezgłośnie wdzięczność chacie przydrożnej.

Czy to znów wiatr?

Drzwi rozwalily się naoścież, jakby wyrwane z zawiasów pięścią burzy. Do wnętrza weszło z ciężkim stukotem około dziesięciu żołnierzy «der deutschen Streikraften». Ogień oświetlił bagnety sterczące nad ławami karabinów, guziki, pasy i ześliznął się po obmokłych butach. Na dworze ściemniało się pod pokrywą grubych chmur.

— Plennik, wo ist plennik?

Gospodyni domu rozłożyła ręce:

— Nie wiem panoczku, u nas plenników nie ma.

Na drogach i po lasach włóczyły się wtedy bandy dezertorów, zbiegłych z armii

Audycje muzyczne

Ubiegły tydzień przyniósł nam dwa bardzo interesujące koncerty: symfoniczny (20 bm.) i Klubu Muzycznego (28 bm.).

Trzon obu programów stanowiły utwory wieku XVIII-go. Bardzo ciekawa to epoka we wszystkich dziedzinach sztuki. Jest to bowiem spotkanie się i starcie dwóch wielkich stylów: baroku i rokoka. W muzyce przełom ten umieścimy w połowie stulecia, dokładnie w latach 1750—1760, tj. w latach śmierci Jana Sebastiana Bacha i Jerzego Haendla. Oni to bowiem, dwaj tytani muzyki wchłonęli w siebie cały czar baroku, jego form przedwzrostych, tak rozwichrzonych, a tak doskonale logicznych i przetworzili go w swoją muzykę. Dali nam syntezę epoki i jej najdoskonalszy wyraz. Rozmaitość form wokalnych i instrumentalnych: opery, oratoria, pasje, msze, kantaty, koncerty i sonaty instrumentalne, ciągle operowanie kontrastem, tak typowym dla baroku: kontrastem sola i tutti, grup instrumentów smyczkowych i dętych, (które bardzo często mają nawet całkiem inne tematy), kontrasty dynamiczne w ustawicznej zmianie piana i forte, obiektywizm kompozycji, — oto cechy najważniejsze tej muzyki.

Mogliśmy je obserwować na koncercie fortepianowym Haendla, wykonanym doskonale stylowo i technicznie przez St. Szpinalskiego, oraz na rzadko grywanym koncercie na 3 fortepiany J. S. Bacha, wykonanym brawurowo przez panie: Romaszkową, Niemczewską i Dąbrowską.

Ale właśnie Bach i Haendel to ostatnia klamra, zamykająca skończony rozdział historii pewnego stylu. Bo już synowie Bacha, wychowani i wykształceni na muzyce genialnego ojca, wspominający z rozrzewieniem twarzą łapę ojcowską, którą wpajał im zasady kontrapunktu — zdradzają i opuszczają sztandary ojca. To nadchodzący nowy styl rokoka burzy im krew, maćci beznamienne, ściśle rytmy, wywraca tradycyjną, uświęconą równowagę między harmonią a melodią i wysuwa na pierwszy plan wła-

stwo widzą, pochodzi z firmy chrześcijańskiej bo jak, już wszyscy wiedzą, nie ma w Polsce fabryk żydowskich bielizny...».

«Albo te pantofle, które państwo widzą na ekranie, gwarantują trwałość i... wieczność...»

W każdym razie reklama przy telewizji będzie dużo uczciwa, bo przynajmniej widz-słuchacz będzie widział na ekranie zachwalany towar.

W najgorszej sytuacji znajdzie się speaker-zapowiadacz no i aktorzy, biorący udział w rozmaitych audycjach. Nie będzie już można grać króla w słuchowisku w kamizelce, albo dyrygować orkiestrą bez kołnierzyka, a np. speaker nie będzie mógł czytać giełdy zbożowej, jednocześnie rysując na brzegu druku schizofreniczne rysunki. Stacje nadawcze w okresie telewizji, będą naprawdę otwarte naoścież, albo inaczej powiedzmy, będą to domy ze szkła...

CECYLIA H.

ECHA RADIOWE

śnie melodię, w którą można przecież coś więcej włożyć, niż czysta «ratio» i troskę o poprawność i nieskazitelność formalność. Każdą melodię można przecie śpiewać, a w śpiewie dochodzi do głosu subiektywizm i uczucie. Twórczość rodzonych synów Bacha to już w prostej linii antecedensty muzyki Haydna i Mozarta.

Programy obu koncertów zestawiono w tem znaczeniu z pełnym sensem: od Koncertu Franciszka (nie Antoniego!) Geminianiego, trochę starszego od Bacha, przez Bacha i Haendla, oraz syna Bacha Jana Krystjana do symfonii Haydna i Sere-nady Mozarta.

Dwa odrębne punkty programu symfonicznego stanowiły: uvertura do «Flisa» Moniuszki i Koncert fortepianowy Rudzińskiego (pierwsze wykonanie).

Pierwsza kompozycja orkiestralna W. Rudzińskiego nie nosi na sobie wcale cech zwykłej w takich razach nieporadności, czy niedociągnięć. Jest zupełnie dojrzała, napisana z talentem i rozmachem, częścią I-a ma dużo inwencji, wywodzącej się z muzyki francuskiej (Debussy) i najlepszego, amerykańskiego jazzu (Gershwin). Wpływ ich widoczny jest szczególnie w doskonałej części pierwszej i trzeciej. Obydwaj wykonawcy: dyrygent Stefan Sledziński i pianista Stanisław Szpinalski włożyli w trudny technicznie koncert bardzo wiele pracy i zapału i umożliwili swoim pierwszorzędnym wykonaniem osiągnięcie pełnego, artystycznego sukcesu.

Koncert Klubowy prowadził sprawnie młody dyrygent Czesław Lewicki, którego talent pięknie się w Wilnie rozwija.

TRYTON.

Audycje słowne

Kwadrans poetycki Allana Kosko z Peznania o Verhaerenie nie zadowolili.

Uderzał nietrafny wybór wierszy w stosunku do inteligentnego i sumiennego komentarza... Recytacje ciekawe. (Wydaje się, iż nie można jednak mówić superlatywnie o przekładach Ostrowskiej!)

Humoreska — «zgubiona melodia» — Czyścieckiego — jak zwykle dobra. Jest to typowy humor dla dziecka — najtrafniejszy, jeżeli chodzi o przeciętnego słuchacza.

Bardzo ciekawa pozycja wileńskiego Radia, to «Wędrowki muzyczne» z objaśnieniami Zofii Ławęskiej.

Celem audycji jest wtajemniczenie młodzieży w historię muzyki — jej charakteru i prądów. Pogadankę tych z przyjemnością słuchać może, zarówno młodzież, jak i osoby starsze i to jest dużą zasługą prelegentki. Bo przecież uniwersalność audycji — to rzecz zasadnicza.

Interesujący odczyt J. Petryego «W świetle rampy» wprowadził słuchacza w wewnętrzny nurt i sedno prawdziwego teatru.

Prelegenta cechowało dynamiczne pojmowanie istoty teatru, rozumianego jako żywe i twórcze odzwierciedlenie idei aktualnych, nurtujących w życiu społeczeństw.

Sposób wykonania — (katedralna fo-

niczność i duża kultura słowa) — wiązał bezpośrednio słuchacza z wygłaszającym.

Faza poszukiwania.

Tylko w szukaniu i eksperymencie mieścić się może istotny sens postępu. Ciągłe kroczenie w ciasnym kółku dokonanych zamierzeń, schematów, klamr, kompozycji starych jak świat, w ostatecznej swej konkurencji doprowadzić może do bezdroży lub jakiejś nieprzebytej ściany, stojącej nam w poprzek drogi. Audycja radiowa jest sztuką nowoczesną i stosunkowo b. młoda, mimo to, zaczyna ona dość często nabierać starczego «bezzębego» wyrazu i usypiającego szablonu.

Za przykład służyć mogą różne audycje strzeleckie, żołnierskie, wiejskie, propagandowe, uroczystościowe i t. p. Czyżby cała wina spadła na «tendencję»? Tendencja, tkwiąca w nich integralnie, paraliżuje wszelką myśl nowatorską — mówią autorzy radiowi. W takim razie nie pozostaje nic innego, jak zrezygnować z tego strojenia, barwienia i przyozdobienia tej «tendencji» i pisać ją na surowo — w formie dobrze napisanej pogadanki. Wszelka dramatyzacja, robienie z niej słuchowiska najzupełniej chybia celu!

Szukamy w słuchowisku czegoś nowego. Istnieją poszukiwacza namiętni. Słata się słowo z muzyką — oprawia się to wszystko w ramy — akustycznej wrzawy, przetykanej w takt niezbadanych metrów, ciszą, działającą jak lek. Muzyka i słowo — do tego wszystkiego dołącza się człowiek ponadczasowy i ponadprzestrzenny speaker.

Słuchowisko już się rozpoczęło.

Słuchamy — ekspozycja naiwna, jakże wydłużona! Czyż można tak minutami szafować, przecięć czas w radio jest stoperowany? Od czasu do czasu odzywa się muzyka zlepiąca mechanicznie ze słowem.

Jakie to przykre i nudne. Jak ten autor się męczy. — Ale oto ekspozycja już się skończyła. Przydługie «przysiady» i «przypoty» i natrętne tłumaczenia i wyjaśnienia odeszły w mrok.

«Serce» słuchowiska rozpoczyna normalną pracę, poderwany już słuchacz. Już go «coś» wzięło. Wszystko zaczyna mieć swój sens. Zapomnieliśmy już o natrętnych niezharmonizowanych okrzykach chóru: Za broń, za broń!

W głośniku coś «zkameralniało» — słuchamy z napięciem. Już się skończyło. Przyszła «Katharsis».

Wszystkie te impresje dotyczą niezwykle interesującego i pouczającego słuchowiska Zenona Koźdrowskiego o Słowackim.

Pouczające z p. widzenia możliwości i dróg przyszłego Teatru Wyobraźni, którego zasady elementarne — dadzą się streszczyć w ten sposób: należy unikać budowy dramatycznej, przystosowanej do teatru — wyeliminować więc nadmierną ekspozycję, motywację figur i zdarzeń poważnie zreprodukować, nie nudzić «gaworzeniem» i nie... pouczać, powtarzać, wyjaśniać.

Zasadniczy efekt radiowy, to skrót myśli z szeroką oprawą — b. dyskretnej muzyki. (Stanowczo muzyka nie jest w zupełności wyzyskana w radio!).

rosyjskiej, lub z niewoli «germańskiej». Często małe oddziały niemieckie były mordowane przez takich, właśnie plenników Woj-sko regularne tępiło ich z całą zaciekłością.

— Wo ist plennik? — krzyczał czerwony ze złości Niemiec.

I znów rozłożenie rąk:

Tu nie ma.

Zaczęła się rewizja domu. Kilku zostało przy drzwiach, dwóch obserwoowało zebranych podróżnych i gospodarzy — reszta z bagnietami na karabinach zaczęła pruć wszystkie możliwe kryjówki. Ostrza stuknęły o cegły pieca, o podłogi, ściany, po strychu dudniły kroki. Nic. Plenników nie było.

Wściekłość dowódcy oddziału, którego widocznie ktoś poinformował, że wreszcie znajdzie ukrytą bandę, potęgowała się, rosła, aż z ogromnym rozmachem ciężkiej pięści spadła na twarz gospodyni.

— Du alte Hese!

Na sygnały dowódcy rzucili się żołnierzy. A właściwie nie rzucili się, tylko podchodzili do każdego z podróżnych i regularnie, bez nerwów, bez złości, ale mocno walili po twarzach, Starzy, pomęczeni ludzie przyjmowali ból i hańbę pięści na twarzy z ponurą rezygnacją, jak nieubłagane prawo silnego. Staś skulił się pomiędzy ojcem i matką. Wkrótce przyjdą do nich.

Z oczu matki płynęły lzy cieniem strumieniem; wyglądało to, jakby jeszcze krople deszczu nie zaschły. Nad głowami pochylała się postać żołnierza, odrabiający zadany manewr wojenny. Spojrzał na ojca i matkę wzrokiem, którym określał bitych

przed chwilą ludzi. Palce stwardniałe, jak charakter w bitwach, w deszczach i w poczuciu bezgranicznej karności — zacisnęły się znów regularnie, naszałt zębów pogłębiarki, chwytającej z dna rzeki muł i kamienie. Chłopiec patrzył na pięść wąsatego żołnierza, palce Stasia powtórzyły manewr — zacisnęły się w skurczu i podniosły na wysokość oczu, potem całą ręką zasłoniły główkę przed ciosem. Pięść wasała, przybyłego skądś tam (z Prus? z Saksonii?) opuściła się wolniej, niż wymagał rozkaz. Nie uderzył. Przekroczył podoficer, lewą ręką odepchnął niezdare; drugą wściekle uniósł w górę. A wtedy... Och, wtedy nie wytrzymał wąsaty żołnierz z Prus, czy z Saksonii — stanął z bagnietem gotowym do pchnięcia w pierś swego szefa, w miejsce, gdzie pod paltem został kawałek munduru przeznaczony na długi szereg orderów.

— Was? — ryknął podoficer.

— ... diese Leuten ... coś bałał żołnierz o niebieskich oczach . . diese Leuten ... Podoficer ręką nakazał ustąpić. Bez skutku. Dla żołnierza nie było teraz władzy. Przed sobą stały w mundurach jednej armii dwie nieziemskie potęgi. W oczach żołnierza zapaliła się nagle dobroć, litość dla dręczonego świata. Niewiadomo skąd ten płomień spadł, czy wybiegł na spotkanie z oleodruku Pana Jezusa, umieszczonego nad ławami. Naprzeciw stał wysoki, chudy dowódca oddziału. Nad wysuniętą szczęką unosiły się w górę jak druty kolczaste — skręcone wasiki. W czarnych oczach zwróconych do

okna odbijały się chmury, pędzone wichurą. W żrenicach podoficera błyskały odbicia piorunów padających w burzy.

Czworo oczu stoczyło walkę. Za chwilę ręka dowódcy wykonała ruch do pasa, do rewolweru. Błysnęła lufa. Nie. Nie zastrzeli odrazu. Została przeciw procedura sądu wojennego działającego szybko i niezawodnie. Złotowłosy wasal będzie rozstrzelany jako przykład niesubordynacji. A zresztą w stosunku do Niemca musi być zachowany szacunek. Skinał na pozostałych w izbie żołnierzy. Rozbroili milczącego chłopca z dalekiej Germanii.

Oddział znalazł plennika.

Aresztant spojrzął na Stasia.

— Ich heisse Joseph Mann... — niewiadomo dlaczego powiedział półgłosem w niezrozumiałym dla podróżnych języku swe nazwisko. Słowa te zabrzmiały jak mowa księdza na cmentarzu: . . . za duszę s. p. Józefa Manna proszę zmówić . . .

Cały oddział zrobił w prawo zwrot. Wkrótce żołnierze wyszli. Przed tym podróżni spojrzeli na nich raz w tym dziwnym schronie przeciwdęszczowym. Cóż to?! Aha, to krople deszczu jeszcze nie zaschły na kilku żołnierskich grubych policzkach.

Ogień dogasał, ale w izbie robiło się coraz jaśniej. Zwały chmur miały las za drogą, a z krańców ziemi wypłynęła czerwien zmieszana z blednącem błękitem. Zachodzące słońce zaróżowiło kałuże wody w głębokich koleinach drogi.

— Mamo, burza już przeszła?

— Tak synku — przeszła.

WIKTOR TROŚCIANKO.

Scena wileńska

MAZEPA

Korowodem tragicznych figur przeciąga przed oczami dawna Polska, znajdująca się blisko — za kurtyną.

Wygodnie usiadłszy w krzesłach patrzmy — ludzie Polski młodej, dzisiejszej, na to wczoraj, które nas zalem napelnia, lub dumą i wzruszeniem przejmuję.

Dla nas «Mazepa» to nie tylko hamletyczny kompleks, nietylko kłębowski charakterów, lecz także prawda o czasach przedrozbiorowych.

Polonezowym krokiem szerokich ułkonów wyszły ku nam czasy dawne, z których powstałiśmy w nowych strojach, nowych myślach.

Najpierw ta Polska, która nas dumą napelnia — to postaci: Zbigniewa, Amelii, — Mazepy; to te stalowe charaktery w próbie szlachetności, wielkoduszności, bohaterstwa. Wiemy, że heroizm «kameralny» tych osób, może zamienić się na heroizm pro publico bono — może stworzyć polskiego Księcia Niezłomnego.

Zbigniewa widzimy we fragmencie jego życia, zbyt prędko się skończyło — we fragmencie życia osobistego, w miłości, która jest siłą spalającą. Snując przypuszczenia «gdyby...» doszlibyśmy do Zbigniewa w największych czynach społecznych.

Amelia — zaprzeczenie pozornej słabości kobiecej. Potrafi zamknąć, głęboko zakopać najmocniejsze swe uczucie — choć rozsada ono nerwy i bije ogłuszającym dźwiękiem serca.

Mazepa... Widz pyta najpierw — «a z jakich to waćpan Mazepów?» — «z tych co żywem grzebani potrafia stać bez jęku, bez głosu. Z tych, co nie zdradzą, co pojęcie honoru męskiego najpełniej reprezentują.»

To z takich Mazepów, którzy zdobywają się na siłę i wielkość słów, gdy chodzi o świadectwo prawdy, i z takich również, którzy w przeczuciu śmierci pójdą na nią z uśmiechem. Ten pan z «gminu» jest grądem i może najbardziej pański z tych panów.

A teraz Polska, która nam oczy zalem zaćmiewia. Polska wojewody i króla — tego króla, co tylko w «Mazepie», bo w rzeczywistości był on inny. A więc najpierw o tym królu. Ujrzelismy go śmiesznego, kukielkowego — trochę z intencji autora — trochę (więcej) bez jego wiedzy, a z winy aktora.

Miał być mały duchem, bigot, tchórz, niekról w rozkazywaniu, a król tam gdzie trzeba prosić.

Takim musiał być w «Mazepie» Jan Kazimierz król tragiczny, nieszczęśliwy naprawdę religijny, ale nawet w «Mazepie» monarcha pełen dostojności i majestatu.

Lecz na scenie nie miał nic z majestatu. Był śmieszny, drygający, dygający, królik z wesołej bajki, lub operetki.

I teraz przychodzi ta Polska najboleśniejsza — Polska wojewody.

Dla historii byłoby najlepiej, żeby sprawa z takim wojewodą skończyła się jak w baladzie Mickiewicza («i wypalił w sam łeb wojewody»)

W sztuce tej jest ona, konieczna, centralna. W bogatych, barwnych szatach (len!) staje przed nami ten straszny kłab zawziętości ludzkiej wojewoda — Szymański.

To właśnie taki Polak, który da się określić słowami Wyspiańskiego «...i zbrodnię widzi te, i te pojmuje, które chcą wydrzeć żywot — ale jemu».

Z motywu zazdrosnego męża urasta do symbolu magnata, który cały ładunek energii zamknie w obronie nieprawdziwie zdeptanego honoru.

Nie można tego określić szablonowo — charakter zły.

Nie. To nas samych boli! Bo człowiek ten stoi o krok od prawdy — tylko siłą nienawiści należy zmienić w siłę miłości. Taki charakter — jakże wielki byłby w działaniu pozytywnym! Boli nas to, że działa negatywnie, że nieprzytomny, zachłystnięty, jest zemstą, że do niej nagina wszystkie środki: podstęp, krucyfiks, zbrodnię, wrzeszczenie śmierci.

Wszystko ma służyć jego zemście — nawet trumna syna. Wszystko jest nieważne w jej obliczu — nawet trup żony, którą przecież kocha i która jest przyczyną mąk. Zemsta dla zemsty! Zawziętość, zaślepienie, jakie to znane z owej tragicznej magnacko-szlacheckiej, liberum-vetowej Rzeczypospolitej!

Tu nas uderza w samo serce dobrze wymierzonym strzałem i autor i artysta.

Szymański zrozumiał co ma pokazać. I pokazał. Jego wojewoda jest właśnie takim wyrzutem sumienia naszej przeszłości. Już czytałem w prasie, że to szczyt osiągnięcia Szymańskiego. To prawda. O Szymańskim jako wielkim artyście można mieć pełne pojęcie dopiero po zobaczeniu jego wojewody.

Przypomniałem, że mam napisać recenzję. Nie napisałem. Bo prócz Szymańskiego nic nie wychodzi ponad staranność, może prócz Zbigniewa, który jak na swój

Nowa pisownia nie dodaje zapachu nauczycielom i działaczom kulturalno-oświatowym, walczącym z potwornym analfabetyzmem i jego powrotną falą, t. zw. analfabetyzmem powtórnym. Przecież ci ludzie wobec licznych i uciążliwych wtajemniczeń, jakich od nich wymaga się, są nieledwie analfabetami, nie mówimy o tem, że na nowe druki pieniędzy także nie mają. Jakież kłopoty mają poeci i powieściopisarze przy drukowaniu swoich dzieł! Co to za dziwłagi powstaną, gdy będzie się wydawać dzieła naszych zmarłych pisarzy! A już wprost tragicznie przedstawia się sprawa druków polskich i położenie nauczycieli Polaków zagranicą. Dla 8-mio milionowej rzeszy Polaków, rozsianych po całym świecie druk polski był owym sanctuarium, w którym mieściła się polskość. Dziś mówią, że to sanctuarium było dziełem arcylichom i niepoświęconem, czyż więc polskość naszych wychodźców nie ucierpi na tem? Do kogo pójdą pożalić się, jeżeli ich kapłani, nauczyciele języka polskiego, nie mogą objaśnić uchwał arcykapłanów nowej pisowni, a tylko odpowiadają rumieńcem wstydu i załamaniem rąk. Ta bezsilność «koryfeuszów» nauki i kultury polskiej na obczyźnie będzie trwać wiecznie, bo nikt im ze sław lingwistycznych, przebywających w Macierzy, należycie nie wytłómaczy przyczyn powstania nowej pisowni. Pozatem kto dostarczy nowych druków Polonji Zagranicznej? Państwo, czy społeczeństwo? Sprawa ta jest istotna, bo mniej więcej, co czwarty Polak, to wychodźca. O tym nieszczęśliwym rodaku Komitet Ortograficzny śnać zupełnie zapomniał!

W kraju jesteśmy w masie, wiele zamachów na dotychczasowy stan kultury narodowej możemy unicestwić, ale zagranicą, pomiędzy obcymi, nie sposób Polonji tego dokonać, tembardziej jeśli zamachy te pochodzą od uczonych z samej Macierzy. Zagranicą może o Polsce pomyśleć, że dopiero w XX wieku i to w 18-tym roku swej

„Sprawy Otwarte“ o wydawnictwach

Na warsztacie literatury

«Piórem mojem nie powodowało nigdy nic innego, jak namiętne, bezkompromisowe, isticie norwidowskie umiłowanie prawdy, nigdy w życiu na tej drodze nikomu nie schlebiałem, ani też nie skrzywdziłem nikogo świadomie...»

Słowa te może najtrafniej charakteryzują całą działalność naukową Stanisława Cywińskiego.

Znany na terenie kulturalnym Wilna, «fanatyczny» wielbiciel Norwida, oryginalny myśliciel i krytyk Stanisław Cywiński zebrał swoje artykuły krytyczne, drukowane, w «Dzienniku Wil.» i wydał je razem pod wspólnym tytułem: «Na warsztacie literatury».

Są to rozważania na tematy aktualne, absorbujące dzisiejszość literacką. (W sensie ściśmym rozstrząsanie te nazwaćby można było recenzją filozoficzną).

Na karty książeczki wchodzi, niemal w tancycznym przeplocie, Galsworthy, Mauriac, Przesmycki, Kridl, Iwaszkiewicz, Parandowski, Segeń i Lukaszewicz.

Prof. Cywińskiego cechuje «specyficzna» metoda badania; — jest to wyluskiwanie istotnych żył podskórnych utworu i namiętanie ich «obróbka».

Zaczyna się wnikliwa, mądra, oparta o dużą kulturę i erudycję, analiza jednego elementu, jednej warstwy...

Cywiński, jako analityk skupiony o niepodzielnej w danej chwili uwadze, bada tylko to, co go w dziele najbardziej interesuje.

Jest więc rzeczą jasną, że nie jest to postawa dębaczka-kolekcjonera, a raczej krytyka wizjonerska, oparta o fundament indywidualnej filozofii.

(I dlatego trudno nazwać prof. Cywińskiego krytykiem w oficjalnym tego słowa znaczeniu!)

Uderzającą cechą książeczki — to pewnego rodzaju nierówność: Oto, np. wnikliwe i przemyślane studium o książce Parandowskiego «Niebo w plonieniach», albo pełne temperamentu i prawdy marginesowe roz-

dotych czasowy dorobek dał bardzo dużo. Amelia była za liryczna, Mazepa dość dobry, a matrona polska na scenie Pohlanki tak się miała do matrony z prawdziwego zdarzenia, jak tombak do złota.

W. TROŚCIANKO

ważania na temat pozycji nauczyciela w społeczeństwie polskim; (w związku z powieścią Łukasiewicza «Nauczyciele») czy też ciekawszy w całym zbiorze essay o «trującym kwiecie Galsworthy'emu», — a obok tego słabsze artykuły, jak «Djabel czuwa» i «Literatura na warsztacie». Związka ten drugi.

W artykule tym, bardzo ciekawym zresztą, prof. Cywiński nie dotyka istotnych cech książki prof. Kridla — «Wstęp do badań nad dziełem literackim» 1936 r. Chodziłoby tu o wyraźniejsze zajęcie i sformułowanie własnego stanowiska.

Wszystkie rozważania w artykule mają charakter dyskusji na tematy prawie wyłącznie werbalne. Zaznacza się tu polemika terminologiczna, a nie zasadnicza.

Prof. Cywiński polemizuje z niewłaściwym jego zdaniem, używaniem w książce Kridla terminów «fikcja» i «rzeczywistość». O wiele ważniejsze byłoby zbijanie poglądu czysto formalnego na sztukę, tak jak, to już zrobili Waclaw Borowy w «Przeźlądzie Współczesnym» i Stefan Kołaczkowski w «Marcholcie».

Zaraz po tym wchodzimy w ciekawszy znacznie teren. Szkic o Przesmyckim jest odważną i sprawiedliwą oceną tego zjawiska, jakim w świecie kultury polskiej jest postać Miriama. Bo przecież: «pokolenie najmłodsze przez usta swych najkrzykliwszych i najpłytszych przedstawicieli raz po raz lekceważąc się odzywa o trudach Przesmyckiego...»

Wybielenie Miriama w zupełności udane i przekonujące.

Nasuwa się jeszcze uwaga tej treści. Ciekawe i oryginalne essay'e prof. Cywińskiego, wydane, w tak biednej oprawie, nasuwają smutne refleksje na temat niedocenienia przez Wilno swoich najgłębszych przedstawicieli!

ZBIGNIEW KOPALKO

Urbanistyka

Z jednej strony grzmia wilnianie,

Z drugiej zaś — pracuje „Biuro“...

Byli długo „autochtoni“ —

W Wilnie było wciąż ponuro!...

JAN JAKUB JAYKO

„Bezdroża ortografji“

Przypisek redakcji:

Nie przebrzmiała jeszcze dyskusja na temat szkół kulturalnych, spowodowanych przez nową ortografię. Sądźmy, że artykuł p. Fabjańskiego, zabierający o nowe problemy (w związku z Polonją Zagraniczną), zasługuje na baczniejszą uwagę.

W nowym numerze naszego pisma ukaże się szczegółowa recenzja broszury St. Cywińskiego «Gwałt ortograficzny».

Nowa pisownia, uchwalona ostatecznie przez Komitet Ortograficzny w dn. 20 i 21 kwietnia 1936 roku, a zatwierdzona przez Ministerstwo W. R. i O. P. 24 czerwca tegoż roku, formalnie zaczęła obowiązywać urzędowo, szkoły i szeroki ogół piszących od 1 września 1936 roku.

Nauczycielstwo, jak dotychczas uczy jej w szkołach ze słownikiem w ręku lub też, co zdarza się w zakładach średnich, zawiera rozejm z młodzieżą, odwołując wcielanie jej w życie, a czyni to bynajmniej nie z lenistwa, jeno z przeświadczenia, że prace uczniów będą mniej ważne w myślach, gdy będą włączane przymocem w rzy nową pisowni.

Na początku września, gdy urzędnicy prokuratury wileńskiej, zaopatrzeni w słowniki ortograficzne, zaczęli robić łamańce ortograficzne w aktach spraw, jeden z dygnitarzy prokuratury wyrzekł: «Ależ, panowie, dajmy pokój tej nowej pisowni, jeszcze wsadzimy niewinnego do więzienia...»

Jakże więc śmieszna wydaje się przytem prawowierność ortograficzna publicysty żydowskiego ze Lwowa, niejakiego Raorta, czy Rappaporta, zapowiadającego zwolennikom starej pisowni ni mniej, ni więcej tylko... Berezę!

Nie ulega wątpliwości, że nowa pisownia nie usprawni bynajmniej biurokracji, a będzie jednym z wielu czynników hamujących jej pracę.

niepodległości zdobyła się na nową porządną pisownię, gdy tymczasem zdobywała się ona w okresie niewoli na dzieła głębokie i natchnione, któremi niekiedy literatura świata może się pochwalić, a i wpraw nie zbywało jej na celnych utworach. Kiedy dotyka się ropiącej rany na organizmie narodu polskiego: analfabetyzmu w kraju i zaniedbania pod względem kulturalno-oświatowym wychodźstwa, gwałtem wyrwa się pytanie: niemasz już środków na leczenie? Chwila zastanowienia może nas uspokoić. Są i to duże, jeśli sam prof. Nitsch, przewodniczący Komitetu Ortograficznego, redaktor akademickiego wydania nowej pisowni i zarazem autor osobnej książki o niej, w polemice, jaka wywodziła się na temat zarobków autorów-członków K. O., pisze na łamach «Prosto z mostu», że społeczeństwo wydało na podręczniki nowej pisowni raptem od 400.000 do 500.000 złotych. Przypuśćmy że tylko tyle. To pewne, że jeszcze nie jedną setkę tysięcy złotych wypompuje ze społeczeństwa nowa pisownia. Nie zardrościmy bynajmniej zarobków członkom K. O., ale ofiary, na jakie zostało narażone społeczeństwo w związku z zakupem podręczników, uważamy z punktu widzenia użyteczności społecznej i narodowej za bezcelowe, a nawet wprost za demoralizujące. Po bezprzykładnych w dziejach nauki polskiej napaściach na fachowego krytyka nowej pisowni, po bezcerymonjalnym wylekaniu pamięci zmarłych przyjaciel, po ujawnieniu z rozbrajającą aynnością małości dochodów autorów, jako też rozchodów społeczeństwa, moglibyśmy dopiero przekonać się o potencjalach płatniczych społeczeństwa polskiego. Lojalny, wobec uchwał Komitetu Ortograficznego Akademii Umiejętności, premier ministrów wydał okólnik, wprowadzający nową pisownię. Jego kolega minister W. R. i O. P. mogłby z dotychczasowej polemiki, ujawniającej znikomość wydatków społeczeństwa wyciągnąć niedaleko idący wniosek — podać projekt małej pożyczki narodowej na zwalczanie analfabetyzmu w kraju i podtrzymania polsko-

na emigracji, a mogłby to zrobić z największym spokojem, skoro społeczeństwo może wydawać setki tysięcy złotych tylko na zmianę pisowni.

Byłoby to i przyjemniejsze i pożyteczniejsze. Jak dotychczas na taki projekt nie zanosi się. Wiemy tylko, że najmniej z milion złotych społeczeństwo zmarnuje i że, pisownia wprowadziła zamęt do języka polskiego Chaos nie jest straszny, jeżeli z niego wyłania się ożywcze i promienne słońce, ale jest potworny, jeżeli legnie rude, błędne komety, co zamiast przydawać światła wywołują pożary i gryzące dymy, od których «ślabym wypatrywaczom prawdy padają bielma na oczy».

Nowa pisownia zaciemnia i fałszuje wymowę, zmniejsza zasób słownictwa polskiego, wprowadzając liczne dziwne i mało dowcipne kalambury, zmienia znaczenie nietylko pojedynczych słów, ale całych zdań, usmierca całe części mowy.

Że potrzeba wprowadzenia nowej pisowni nie dojrzała, świadczą błędne sady opinii publicznej, która bynajmniej nie dopatruje się w uchwałach K. O. naukowych racyj, a widzi tylko przesłanki polityczne: jedni widzą w inicjatywie Ministerstwa W. R. i O. P. zwołania konferencji ortograficznej dalsze posunięcia «jędzejowszczyzny», a w pisowni z 24 czerwca 1936 roku dzieło rąk Kleina, Lehr-Splawieńskiego i Oestreichera; inni znowu uważają nową pisownię za jeden ze środków zdyscyplinowania opozycji, co więcej, wykrywania jej antypaństwowości, na którą najwłaściwszą karą, idąc za wywodami dziennikarza żydowskiego ze Lwowa, mogłaby być Bereza.

Nowa pisownia nie jest nawet mgławicą, bo z mgławicy powstają światy, nawykłe do poszuwania torów swoich sąsiadów — jest tylko małą, złowróżbną kometa.

WŁADYSŁAW FABJAŃSKI

RĘKA NA PULSIE...

(sugestie — ozdoby nasze)

Prezes Wil. Org. Miejskiej O. Z. N. p. inż. Wacław Barański w przemówieniu swoim, wygłoszonym w dniu 19.IV-37 r. na zjeździe O. Z. N. przytoczył następujące dane, dotyczące stanu posiadania chrześcijańskiego na terenie czterech województw północno-wschodnich w najrozmaitszych gałęziach gospodarczych a więc: w rolnym 12%, spożywczym 35%, włókienniczym 5%, odzieżowym 14%, futrzarskim 4%, metalowym 10%, drzewnym 18%, papierniczym 16%, galanterijno-odzieżowym 12%, garbarskim 2% (!) i t. d.

Musimy w jednym, w dwu pokoleniach odrobić to, co zaniedbało 27 pokoleń poprzednich od czasów najazdów tatarskich — mówił inż. Barański.

Żeby czytelnik z tego wszystkiego nie odniósł wrażenia, że handel i przemysł w łwiej części znajduje się w ręku Tatarów odwracamy cyfry.

W przemyśle rolnym mamy 78% żydów, w spożywczym 65%, włókienniczym 95%, odzieżowym 86%, futrzarskim 96%, metalowym 90%... w garbarskim tylko 98%!! I jak tu nie być antysemitą, nawet w gospodarczym tego słowa znaczeniu.

Żydzi w przededniu wielkiej zamorskiej podróży odczuwają już, typową w takim wypadku Reizefiber! Bo proszę już nawet najwierniejsi towarzysze, bracia w Moskwie doradzają emigrację! Broszura Borskiego to kij wrzucony w mrowiska Nalewek. «Nie jest prawdą — pisze tow. Borski — że żydzi muszą pozostać w Polsce. Istnieje realne wyjście a jest nim emigracja... Nic innego, nic lepszego się nie wymyśli...»

— Pieniądze na emigrację Izraela muszą się znaleźć — od czegoż z resztą istnieją bogate Rotszyldy, liczne króle z różnych nowojorskich Avenue Streets i sam rabin Wise?

Nasuwa się nieodparcie jedna uwaga. Jakąz ekspresją odznaczać się będą listy

z Madagaskaru takiego, np. Słonimskiego, czy Wittlina...?

Staruszek «Czas» rozmarzył się i wysubtelniał.

Proszę posłuchać, jak mądrze prawi dziadunio... pod lipą:

«...młodzi mają ambicje polityczne. Nic zdrowszego pod słońcem. Trzeba tylko, by mogli bez awantur bez groteskowych rewolucyj je zaspokoić a inaczej wszystko mogą stracić.

Dziś młody człowiek będący silniejszą indywidualnością mówi sobie: nie mamy nic do stracenia, jeśli tych starych siła nie zmuszą, to do niczego nie dojdę, a jeśli jest jednostką słabą, to nie chce o niczym wiedzieć, niczym się interesować, bo to mu może zaszkodzić.

Trzeba dać młodym normalną drogę do zaspokojenia ich ambicji, wyładowania ich energii. Tej drogi nie dała młodemu pokoleniu ani opozycja ani reżim... Opozycja, bo wszystkie drogi pozytywnej pracy dla państwa były przed nią zamknięte, reżim, bo zarezerwował wpływy dla pewnej ograniczonej grupy ludzi. Jeśli młodzi dochodzili w ostatnich latach do pewnych stanowisk, to ich otrzymanie było niejako zapłatą za określoną polityczną akcję, jak to np. miało miejsce z członkami Legionu Młodych, a nie normalnym życiowym awansem, który powinien być udziałem każdej zdolnej jednostki...»

New Chronicle (Manchester) w numerze kwietniowym przynosi kilka szczegółów z życia młodych amerykańskich poetów, kształcących się w specjalnej szkole dla «wieszczów» w Midletown w stanie Kentucky. Trzyletnia szkoła obejmuje kursy następujące:

a. boks b. szermierka c. nauka zręcznego pisania na maszynie d. korespondencja handlowa e. seminaria językowa.

Wszyscy studujący są skoszarowani. Tryb życia klasztorny, chodzi tu o to, ażeby wyćwiczyć w młodych niespokojnych duchach zmysł równowagi, harmonii i umiaru. W godzinach popołudniowych panuje na terenie zakładu całkowita cisza. Wychowankowie czytają w skupieniu staroangielskie sagi. Wieczorami płoną ogniska, z za gęstwiny dzikiego parku dolatują odgłosy dyskretnej lutni i cytry.

Na tle dalekiej muzyki, wybrani z spośród młodych poetów recytatorzy deklamują obłąkane utwory Whitemana.

Skoro świt każdy z poetów musi już być na nogach, zamiast porannej gimnastyki — rytmiczne rabanie wielkich kłoców drzewa.

Tak się mniej więcej przedstawia rytuał osobliwego zakładu dla adeptów literatury.

Najosobliwsze w tym wszystkim jest to, że nie wolno żadnemu z wychowanków podczas studiów niczego tworzyć!

«Podstawą pisarza musi być wiedza i wszechstronne opanowanie języka» — tak rozpoczyna swe wykłady najczcigodniejszy humanista amerykański Babbit.

Kilka rozważnych słów służących gwoli uspokojenia «klasowo» rozpalonych, młodych głów:

«Czas skończyć z tak zwaną proletariacką twórczością poetów dla snobów, a czas pisać i działać naprawdę dla ludu» — (Kudliński Przegl. Współczesny 1937 r.)

Tak, jak to już robi Burek — panowie Czuchnowscy!

Blum nie posiada gestu wielkiego mówcy. W każdej ze swych mów, najczęściej, płacze i przeprasza za wszystko, nawet i za to, że jest... żydem, że prasa opozycyjna jeszcze istnieje, że Doriot i ten pułkownik z pod Ognistego krzyża to ludzie niewychowani!

Na Wystawie Paryskiej — pawilon Niemiec będzie graniczył z sowieckim. Emblematy hitlerowskie — a młot i sierp. Czy się pogryzą?

Czytelnicy «Wiadomości Literackich» są zaskoczeni nagłą wolą tego pisma. Istny zawrót głowy — wszystko wiruje w prawo, dławczegóżby więc mądre żydki nie miały ratować Ojczyzny? W każdym z numerów pojawia już się coraz więcej krzyżów i dyskretnych zezów w stronę potężnego fałszyzmu.

«Zwalczamy kompleks wiadomościoliteracki — czytamy w Merkuriuszu — przede wszystkim, jako czynnik obniżający poziom kulturalny, degradujący — nawet formalnie, współczesną literaturę polską, wulgaryzujący wreszcie zwyczajny gust artystyczny». Przyłączamy się do tej opinii. Sprawa zresztą jest jasna.

Nie chcemy żydów «robiących» w kulturze polskiej. Uznajemy Tuwima za poetę żydowskiego, obcego nam duchem i rasą.

W prasie, stojącej za Obozem Zjednoczenia Narodowego, kilkakrotnie u strony tego Obozu wyrażano pogląd na t. zw. sprawę młodzieżową.

W jednych pismach dowodzą, że młodzież jest «z młoda», a zatem nie powinna się mieszać do tego, co starsi robią.

W drugich, — że należy czekać na decyzję samej młodzieży.

Jak więc ostatecznie? Bo jest «jaka taka» różnica między jednym stanowiskiem, a drugim.

«Nacjonalizm jest ruchem, który całe życie będą zwalczać — tak (mniej więcej) mawiał jeden z ludzi, który na wileńskim zjeździe O. Z. N. zasiadł przy stole prezydiatnym.

Ewolucja zatem rządzi wszechwładnie.

MEDICUS

Galanteria

„Zródło Polskie“

wł. Siostry P. i T. Feldmanówny

Wilno, Wileńska 29.

Otrzymano ostatn. nowości sezonowe.

Ceny najniższe.

L. ŁOPUSZAŃSKI
ZAMKOWA 4

Futra płaszcze karakulowe i t. p.

Otrzymano świeży transport modeli zagranicznych płaszczy damskich.

Ceny konkurencyjne.

WŁODZIMIERZ PIKIEL

WILNO, WIELKA 7. TEL. 11-55.

Sukna

Jedwabie

Futra

Wełny

Bławat

OSTATNIE NOWOŚCI. — CENY NISKIE.



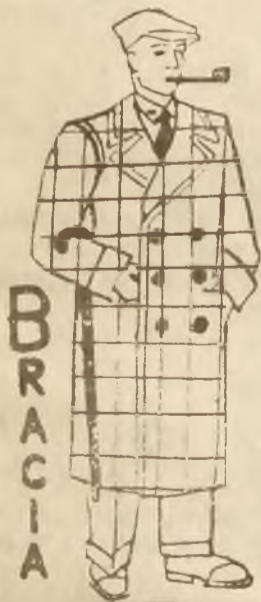
Zegary, zegarki, budziki

Gwarant. Pierwszorz. Firm

U W. JUREWICZA
przy ul. Mickiewicza 4.

Tanio lecz dobrze

wykonane:



Garnitur spacerowy modny od zł. 55.—
marynarka «Fresco» prakt. „ „ 40.—
spodnie flanel. szare i beige „ „ 15.—
spodnie sport. przerab. ang. „ „ 14.—
płaszcz szewiotowy b. modny „ „ 54.—
płaszcz gabardinowy „ „ 53.—
płaszcz impregnowany „ „ 38.—
płaszcz płócienny „ „ 17.—

Przyjmujemy również obstalunki z własn. materiałów.

JABŁKOWSCY.

Dom Handlowy

P. Kalita, L. Zabłocki i S-ka

Wilno. Wielka 17. Tel. 17-57.

Poleca towary wysokiej jakości, jako to: naczynia stołowe ze szkła, fajansu, porcelany oraz kryształy, naczynia kuchenne, żyrandole, lampy do elektryczności i nafty. Ceny stałe, konkurencyjne.

O. MATKIEWICZ

Wilno, Zamkowa 12

Poleca: zegary i zegarki oraz wyroby jubilerskie. Tamże pracownia solidnej naprawy zegarków.

SKŁAD PAPIERU i MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH

Specjalne działy:
MALARSKO - KREŚLARSKI. RAM, OBRAZÓW i ZABAWEK.
PAPIERY TECHNICZNE — WIECZNE PIÓRA

Władysław Borkowski

Wilno, Ad. Mickiewicza 5. Telefon 372.

Pp Inżynierom, Mierniczym i Technikom. na roboty sezonowe polecam: Kalki, Szkiełki, Papiery światłoczułe.

Nie zapominajcie Wilnianie o przyrzeczeniu, jakie złożyliście podczas blokady akademickiej:

Cały Handel Wileńszczyzny musi być w rękach polskich. Wytrwajcie w swych postanowieniach

i kupujcie tylko u chrześcijan. W celu dostania rabatu przynoscie nasze ogłoszenia.

Ceny ogłoszeń: Za 45 milimetrów 1-no szpaltowych na ostatniej stronie 7 zł. W tekście o 50% drożej. Prenumerata roczna 4 zł., pół. roczna 2 zł., kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Arsenalska 6 m. 2.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki od godz. 18 do 20.

Wydawca: Henryk Polakowski.

Drukarnia «Jutrzenka» Wilno, Bonifraterska 8.

Redaktor odp. Władysław Mackiewicz.